Nr. 11. Kraków, Listopad 1916. Rok X.

POLSKI SIEW



REDAKCYA
i ADMINISTRACYA:
Kraków,
ul. Franciszkańska L. 3.

Cena egzemplarza wynosi 10 halerzy.

TREŚĆ NUMERU XI-go:

Święto umarłych i wojna.

Poszli i legli...

Tylu ich poszło, a wszyscy szli „w imię sprawiedliwości“ hen, na obczyźnie krew wylali i obce ziemie swemi kośćmi usłali.

„Sprawiedliwość“ ich w te dalekie światy pognała i za sprawiedliwość oni swe życie oddali. Rzeczono im bowiem, iż ta sprawiedliwość znosi wszelki gwałt, a niesie wolność; grabieżców pędzi precz z zabranych ziem, a oddaje je prawym dziedzicom; prześladowanym za wiarę i mowę ojców, daje swobodę religijną i narodową; wyzyskiwanym i uciśnionym przywraca należne im prawa; umęczonym ciężką dolą życia stwarza lepszą przyszłość; zgwałcona i zapoznana woła o obronę i pomoc. Posłuchali tego głosu młodzieńcy i dojrzali mężowie i poszli.

Oni tylko dla tej „sprawiedliwości“ poszli i dla niej tylko swe życie oddali, niemasz na świecie innej nad nią mocy, którąby oderwała syna od matki, męża od żony lub ojca od dzieci. Zostawili bezradne matki na pastwę starości, zostawili żony na straszną dolę wdowieństwa, a dzieci na nędzę sierocą i poszli.

A kiedy szli, to o owem opuszczeniu matek, wdowieństwie żon i sieroctwie dzieci nie myśleli. Przyświecała im bowiem owa wielka sprawa, w imię której poszli: „sprawiedliwość“, a przy niej wszyscy zawsze się ostoją przecież.

Poszli i legli i zwycięstwa sprawiedliwości nie doczekali.

Skoro wieść o ich śmierci przyszła, zapłakały dzieci, załkała żona, polała gorące łzy matka, a przyjaciele i sąsiedzi szczerze pożałowali.

Ale pamięć ludzka krótka. Wnet ucichło o nich między sąsiadami, obeschły łzy na młodem licu wdowy, zapomniały też o ojcu dzieci. W matczynem sercu jeno pamięć się ostała, bo jedna matka nigdy nie przepomni dziecka.

—Niesprawiedliwość!

Oni sprawiedliwość wskrzeszać poszli i dla niej krew serdeczną rozlali; a tej sprawiedliwości nie tyle dla siebie, ile dla swoich szukali.

A ci swojacy niesprawiedliwością im płacą...

„Zmiłujcie się nad nami, zmiłujcie się, aby wżdy wy, przyjaciele nasi, boć nas ręka pańska dotknęła“ wołają dziś z Jobem do nas polegli bracia nasi z krainy wieczności.

Oni wszystko dla nas poświęcili, bo za lepszą dolę życie poświęcili, a za to niepamięcią ich się darzy i modlitwy nawet im się skąpi. Wszak oni niczego więcej od nas nie pragną już teraz, jeno tej duchowej pomocy.

Ta pomoc duchowa będzie im zapłatą za owe trudy i znoje i ową śmierć ofiarną.

Pomoc duchowa poległym jest powinnym długiem, który spłacić ma w imię sprawiedliwości każda rodzina, każda gmina i całe społeczeństwo. Wszędzie odbyć się winny uroczyste nabożeństwa za ich dusze nie tylko staraniem osierociałych matek ale stowarzyszeń, gmin i parafii.

W ścianach każdego kościoła tkwić winna na wieczną pamięć kamienna tablica z nazwiskami poległych w tej wojnie parafian z prośbą o modlitwę za ich dusze.

W każdej niemal parafii istnieje dziś tak zwany: „Związek mszalny“. Do tego związku winni wszyscy przystąpić, a na liście umieścić imiona poległych, by za nich co roku, po wieczne czasy, msza św. odprawiać się mogła.

Tego domaga się od wszystkich sprawiedliwość!

Jest piekło!

Bezbożni i głupi ludziska mówią nieraz: „Niema piekła!“ Lecz człowiek rozumny, gdy coś twierdzi, powinien to swoje twierdzenie rozumnie uzasadnić i stwierdzić dowodami.

Jakiż rozumny dowód mają ci, którzy mówią, że niema piekła?...

Żadnego!

Jest to tylko gołosłowne i zupełnie nieuzasadnione twierdzenie. Jeśli ich bowiem spytasz o dowody, to jedno ci rzeką, że piekła nikt nie widział i nikt stamtąd nie przyszedł...

A przecież to żaden dowód!

Istnieją oddawna przypuszczenia, że na niektórych planetach, np. na Marsie mogą istnieć jacyś mieszkańcy. Żaden z nich jednak dotąd nie przybył w gościnę na ziemię. Nie wynika jednak z tego, aby Marsa nie było.

Tylu ludzi na świecie nie widziało północnego bieguna. Kilku zaledwie ludzi miało ostatniemi czasy tam dotrzeć. Nikt jednak od dawien dawna w to nie wątpił, jakoby biegun rzeczywiście istniał. Stwierdzili to bowiem uczeni swemi dociekaniami, a ogół ludzkości ich twierdzeniom uwierzył.

Tak samo ma się sprawa z piekłem. Istnienia piekła domaga się rozum, a potwierdza je objawienie Boże i powszechna wiara całej ludzkości wszystkich wieków.

Rozum ludzki, oparty na zasadzie sprawiedliwości, koniecznie się domaga dla różnych przestępców kary pośmiertnej. W życiu bowiem widzi się ludzi złych i przewrotnych, wielkich krzywdzicieli i zbrodniarzy nawet, którzy ze swemi przestępstwami uchodzą zawsze szczęśliwie wszelkiej sprawiedliwości i pędzą życie spokojne i niefrasobliwe. Nie może przeto być, iżby ich los pośmiertny miał być taki sam, jak i ludzi sprawiedliwych, którzy „dobrze czyniąc“ przeszli w trudzie i cierpieniu przez to życie. Tej sprawiedliwości, której poczucie tkwi w każdem sercu ludzkiem zadość stać się musi! Nie może więc ujść kary przestępca! Jeżeli jej uszedł w tem życiu, nie minie go ona w tamtem. Jeśli bowiem światu nie dostaje sprawiedliwości, to stanie jej zawsze Bugu, bo Bóg jest samą sprawiedliwością.

Życie wieczne po śmierci takich np. bluźnierców, co Bogu samemu bluźnili, tyranów i okrutników, co tyle krwi niewinnej śś. Męczenników przelali — morderców, złodziei, rozpustników, co całe życie w zbrodniach i występkach niepoprawnie żyli itd. — musi być karą, a miejscem tej kary jest piekło.

Dwie rzeczy trapią tych, co w piekło z trudnością wierzą, tj. ogień i wieczność piekła!

Pismo święte mówi wprawdzie o piekle, jako o „piecu ognistym“, gdzie płonie „ogień wieczny“, który „nigdy nie gaśnie“ i t. p. ale nie mówi nic o istocie tego ognia, ani o sposobie, jakim on trapi potępieńców. Trudno więc o tem coś orzekać i piekło, jako płonącą siarkę, lub wrzącą smołę sobie wystawiać lub nad tem się biedzić, jak dusza, istota niemateryalna od materyalnego ognia cierpieć może.

Nie znając istoty, nie znamy i sposobu i to jedno tylko za św. Augustynem powtórzyć możemy: „miris sed veris modis affliguntur“ — „w dziwny, ale prawdziwy sposób, cierpią“. Wieczność! Nigdy nieskończona wieczność. Za jeden grzech, tak krótko trwający — wieczna kara!

A przecież i strzał trwa krótko i kulka jest taka maleńka, a następstwo zbrodni — śmierć trwa wiecznie; podpalenie strzechy skrzesaną iskrą trwa chwilę, a skutek pogorzeli trwa zawsze. To też i stan zbrodni i grzechu trwa w duszy wiecznie, jeśli człowiek przed śmiercią w pokucie się nie uniewinni. Stąd i kara wieczna mu się należy.

Zresztą grzech jest obrazą Boga, nieskończonego Majestatu, a więc obrazą nieskończoną, a zatem i kara nieskończona mu odpowiada; a że ta kara nie może być nieskończoną co do jakości musi być nieskończoną co do czasu, czyli wieczną...

Dziwną jednak musi się wydać rzeczą, że prawdzie o istnieniu piekła, uznaną przez wszystkie narody i po wszystkie czasy — przeczą zawsze ludzie źli, rozpustni, niegodziwi itp. Czynią to, zda się, dla zagłuszenia w sobie tego strasznego głosu, który wciąż w sumieniu ich woła: „Jest piekło!“ Chcą ten głos przytłumić drwinkami, a on nieubłaganie wciąż woła: „Jest piekło!“

Kiedy dopiero śmierć w oczy takiemu zaglądnie, przycicha i szuka pojednania z Panem Bogiem, nie tyle może z miłości ku Bogu, ile raczej z obawy przed piekłem.

Francuski oficer Collet d'Herboi, wielki bezbożnik, widząc raz, jak jego służący, żołnierz, żegnał się znakiem Krzyża św., odezwał się, bluźniąc:

„Głupcze! Ty jeszcze wierzysz w te zabobony? Czy nie wiesz, że Bóg, Matka Boska, niebo, piekło, to są tylko wynalazki księży?“

Wkótce potem, ciężko ranny, okropnie cierpiał; czuł w sobie jakby ogień, pożerający mu wnętrzności. Począł się tedy modlić, wzywać na pomoc Matki Bożej... i żądał księdza. Żołnierz słysząc to, odezwał się:

„Jakto — pan się modlisz i wzywasz księdza? A przecież pan mówiłeś niedawno, że piekło i P. Bóg — to wymysł księży!?“

„Ach — odpowiedział chory — usta moje kłamały sercu i przekonaniu!“

Dzień Zaduszny — a Związek mszalny.

Dobra matka wszystką swą troskliwość macierzyńską poświęca dziecięciu, które cierpi. Im nędzniejsze im biedniejsze to dziecię, tem większe okazuje mu współczucie. Tak i matka nasza, Kościół święty, osobliwie w tych dniach pamięta o duszach w Czyścu, boć to jej dziatki nieszczęśliwe, a nieszczęśliwe dlatego, że chociaż w łasce Bożej zeszły ze świata, to jednek nie posiadają jeszcze najwyższego dobra — Boga — i cierpią w upaleniach czyściowych. Te dusze nie mogą same sobie dopomódz, więc Kościół św. chce im dopomódz i dopomaga, urządzając nabożeństwa za dusze i nas żyjących wzywając, byśmy te dusze braci i sióstr naszych ratowali modlitwą, jałmużną, odpustami.

W dzień zaduszny powinniśmy pamiętać nie tylko o duszach naszych najdroższych, to jest rodziców, krewnych, przyjaciół, znajomych, lecz także o duszach tych, które już dawno zeszły ze świata, a nie mają na ziemi ani krewnych, ani znajomych, którzyby o nich pamiętali.

Najważniejszym środkiem niesienia pomocy duszom czyściowym jest ofiarowanie za nie mszy świętej. — W tym czasie, kiedy ludzie najbardziej pamiętają o duszach czyściowych, kiedy dają za nie na wypominki, składają ofiary na msze święte, chcemy wam przypomnieć, drodzy Czytelnicy, ażebyście nie zapominali zapisywać waszych drogich zmarłych do Związku mszalnego. Bo wszyscy zapisani będą mieć udział w owocach 100 (stu) mszy świętych, które odprawiać się będą po wieczne czasy. Zapisać więc osobę zmarłą do Związku mszalnego, to znaczy uczynić za nią w pewnej mierze wieczystą fundacyę. A przecież łatwo to każdy może uskutecznić, bo ażeby wpisać kogoś do Związku mszalnego, to potrzeba złozyć ofiarę przynajmniej dwie korony, a na taką ofiarę przecież każdy łatwo zdobyć się może.

A nie trzeba zapominać, że ofiary złożone idą na cel piękny, na budowę naszych kościołów. Dlatego Związek mszalny, to prawdziwie dzieło Boże.

Ale kiedy mówimy o tem, to chcielibyśmy, drodzy Czytelnicy zachęcić was przedewszystkiem do tego, ażebyście do Zw. mszalnego zapisali wszystkich poległych. Oni są przecież najbardziej godni politowania i naszej pamięci. Oni przelali krew za ojczyznę! Wyszli z domu, lecz więcej już nigdy nie powrócą. Ojciec, matka, żona, dzieci nie mogą nawet odwiedzić ich grobu i pomodlić się na nim za ich dusze, bo leżą pochowani gdzieś daleko, może wśród pól lub lasów. — O nich więc łatwiej mogą ludzie zapomnieć! Dlatego tembardziej zapisujcie ich do Związku mszalnego, ażeby im zapewnić na zawsze pamięć w modlitwach kościelnych i w owocach ofiary mszy świętej.

Jest niebo!

Pewien kapłan jechał raz koleją ze znajomym, ale niewierzącym panem. Niedowiarek, żartując z księdza, rzekł:

„A nuż, księże, nieba niema. Na ziemi wszystko straciłeś, a i tam nic mieć nie będziesz!“

— „A nuż, mój panie, niebo jest — odrzekł kapłan. — Kto z nas więcej stracił?“

Jest niebo!

O tem przekonuje nas rozum i uczy wiara św.

W każdym człowieku tkwi poczucie sprawiedliwości. Tej sprawiedliwości domagamy się zawsze, wszędzie i we wszystkiem. Ponieważ atoli złość ludzka często gwałci sprawiedliwość, lub też mimo dobrych chęci na całkowite jej zaspokojenie zdobyć się nie potrafi — przeto ludziska wciąż wołają z goryczą: „Na świecie niema sprawiedliwości!“ I wciąż tak wołają mimo ciągłych rozczarowań i zawodów, bo poczucie rzetelnej sprawiedliwości w ich sercach nigdy nie wygasa i zadośćuczynienia wiecznie pożąda.

Gdzież więc szukać tej sprawiedliwości, jeśli na świecie jej niema, a zaspokoić ją trzeba?

U Boga.

Bóg jest samą Sprawiedliwością i z Bożej sprawiedliwości człowiek owo poczucie w sercu swem zaczerpnął.

Życie ludzkie to służba Boża. Wszystkie prace i wysiłki ludzkie, wszystkie cierpienia i smutki, walki z namiętnościami i umartwienia, ofiary i zaparcia się, a wreszcie straszna groza śmierci stanowią ową służbę. Służba zaś na zasadzie prostej sprawiedliwości żąda nagrody od tego, komu się służyło. Tą nagrodą za ziemską służbę człowieka ma być niebo. Tego domaga się sprawiedliwość.

Jakżeż bowiem?

Czyż za ten pot wylany, za tę krwawicę i wysiłek ostatniej żyły w zbożnej pracy, za owe straszne ofiary i wyrzeczenia się ziemskiej rozkoszy miałby człowiek w ziemi w proch się rozsypać i być karmą plugawemu robactwu?

Toby była niesprawiedliwość, a Bóg jest Sprawiedliwością samą i zasługę odpowiednio nagrodzić musi.

Tą nagrodą zaś może być tylko niebo, kraina wiecznego szczęścia. Zupełne zaspokojenie bowiem swych nienasyconych, niczem na ziemi pragnień znaleźć człowieka może jedynie tam, gdzie niema ni cierpień, ni śmierci, ni zawodów żadnych, ni nowych niezaspokojonych pragnień, ale pełnia wszelakiego szczęścia. A tą pełnią szczęścia dla człowieka jest niebo.

Jest więc niebo, bo tego się domaga Sprawiedliwość Boża i wrodzone człowiekowi poczucie tej sprawiedliwości.

Za poczuciem tej sprawiedliwości poszły owe krocie tysięcy Męczenników, którzy życie swe z pieśnią wesela na ustach za wiarę św. dawali. Dla tej sprawiedliwości i nadziei nieba tyle dusz po wszystkie wieki opuszcza świat i wszystko, co na świecie miały i mieć mogły i idą do klasztorów na życie twarde, ofiarne, zaparte, pełne umartwień, podczas gdy na świecie żyć mogły w największych wygodach i rozkoszach. Tylu ludzi z dnia na dzień boryka się z pokusami i odmawia sobie tylu przyjemności, a podejmuje umartwienie dla nieba!

Czy tych wszystkich Męczenników, Wyznawców, owe wszystkie dusze sprawiedliwe ma spotkać zawód? Zatrzymanie dziennej zapłaty pracowników świat zowie „grzechem o pomstę do nieba wołającym“ — żaliby i Bogu godziło się taką zbrodnię przypisać? Nie! Jeśli jest Bóg — to jest i niebo!

Niebo jest środowiskiem wiary chrześcijańskiej. Wszak wedle nauki tej wiary P. Bóg stworzył człowieka dla nieba; a gdy człowiek sprzeniewierzył się swemu Stwórcy i Panu, Bóg sprawia dlań Odkupienie. Syn Boży staje się człowiekiem i podnosi upadłą ludzkość najpierw swą Boską nauką, a potem ofiarą krzyża. Cała zaś Jego nauka skupia się około „Królestwa Bożego“, a krzyżowa ofiara, ma ludziom niebo otworzyć. Kościół św., prowadzący z nakazu Chrystusa Pana dalej dzieło odkupienia na ziemi, o to jedno jeno się troszczy, by wyznawców swoich do nieba doprowadzić. Niebo zatem

jest głównym przedmiotem wiary świętej. Zaprzeczanie zatem nieba, byłoby zaprzeczeniem całej nauki chrześcijańskiej.

Ten i ów pyta jednak — a gdzież to niebo?

Tego nie wiemy. Bóg nam tego nie objawił. Według starego zwyczaju wskazuje się na niebo „w górę“, jakoby ono tam, gdzieś pośród gwiazd, mieścić się miało. Wszak i Chrystus Pan, wstępując do nieba, wzniósł się w oczach Apostołów w górę. Nie wynika jednak z tego, jakoby tak rzeczywiście być miało. Wszak ziemia względem gwiazd zmienia wciąż swe położenie i „w górze“ coraz inne mamy przestrzenie i światy. Kierunek, w którym Chrystus Pan w oczach uczniów wznosił się do nieba, był pewnie pionowy względem Judei, bardzo jednak skośny względem naszego kraju. Trudno zatem na tej podstawie coś orzekać.

Kiedy jednak Boga lub niebo wskazuje się w górze, to czyni się to stosownie do wrodzonego poczucia, które wszystko, co piękne, szlachetne, szczęśliwe i doskonałe — nazywa „wzniosłem“ i górnem.

W trzecim roku dziejowego kataklizmu.

Bez wszelkiej przesady możemy powiedzieć, że wszystkie ludy Europy upadają pod strasznym ciężarem wojny i wzdychają żałośnie, niosąc ciężkie brzemię, które je od trzech lat okropie przygniata. Nawet tak wielkie mocarstwa, jak światowładna Anglia i potężne militarnie Niemcy i olbrzymia Rosya, odczuwają już dotkliwie ciężar długiej wojny. Nie mówimy nawet o całem szeregu mniejszych mocarstw i państw Europy, które muszą wytrzymywać długo ogromne ciężary. Wielka wojna porwała w swój wir wiele ludów z innych części świata, które chcąc nie chcąc muszą podzielać wraz z państwami Europy smutne położenie. Cała ludzkość uległa niebywałemu kataklizmowi, z któregoby już wyjść pragnęła, lecz nie może znaleźć drogi wyjścia.

Dlaczego tak długo trwa wojna i czemu nie może się zakończyć? Zdaje się, że nie wiele się pomylimy, gdy powiemy, że główną przyczyną przewlekania się wojny jest to, że nie przyniosła ona dotychczas stanowczego, decydującego, wojskowego rozstrzygnięcia na polach bitew. Bo jakkolwiek w obecnej wojnie biorą udział miliony i chociaż walczą ze sobą prawie wszystkie rasy ludzkie i chociaż ta wojna obfitowała już w cały szereg wielkich bitew, które w poprzednich wojnach byłyby rozstrzygnęły o wojnie i pokoju i chociaż w tych bitwach legło lub zostało rannych setki tysięcy wojowników i jakkolwiek do niewoli dostało się całe miliony ludzi, i chociaż przeciwnik cofał się nieraz o setki kilometrów, to jednakowoż pomimo tego wszystkiego żadnej stronie wojującej nie udało się dotychczas powalić przeciwnika zupełnie na ziemię, ubezwładnić go, kompletnie go zdruzgotać i podyktować mu warunki pokoju. To nie powiodło się dotychczas żadnej stronie wojującej. Przeciwnik bowiem po otrzymaniu nawet wielkich ciosów i po cofnięciu nawet swego frontu, wzmacnia się ciągle na nowo, ściąga coraz to nowe rezerwy w ludziach, kuje bez przestanku nową broń i staje do nowej obrony albo gotuje się nawet nanowo do nowego ataku. Jednem słowem fronty przeciwników zdają się być podobne do spiętrzonych i rozhukanych fal morskich, które z rykiem i hukiem wpadają na siebie, lecz zawsze rozbijają się i kruszą a nie mogą rozlać się po kraju nieprzyjacielskim.

A przecież z początku wydawało się, że wojna przyniesie szybkie i stanowcze rozstrzygnięcie. Bo naprawdę był to groźny i straszny widok, jak zmobilizowana, potężna armia niemiecka, runęła na granicę francuską, łamiąc i krusząc po drodze wszelki opór. W przeciągu kilkudziesięciu dni legła pokonana Belgia, jej twierdze runęły jak domki z kart, król i wojsko musiało szukać ratunku w ucieczce na ziemię francuską. Niemcy byli już nieomal pod murami Paryża, rząd francuski szukał schronienia w południowej Francyi. Zacięta, zwycięska dla Francuzów bitwa nad Marną wstrzymała pochód niemiecki na Zachodzie. Fronty zajęły tam stałe pozycye, które nieomal zachowały się do tego czasu. Rozpoczęła się walka pozycyjna.

Również z wielką potęgą uderzyła Rosya z początku wojny. Wszak zajęła całą Galicyę, a masy rosyjskie oparły się aż po Kraków, Śląsk i po Poznańskie. Na tym froncie stoczono cały szereg wielkich, krwawych bitew. Rosya chełpiła się zwycięstwem, przechwalala się, że pójdzie zwycięsko do Wiednia i Berlina, ażeby tam podyktować warunki pokoju. Ale jej pochód został wstrzymany, rozpoczęła się walka pozycyjna, a na wiosnę 1915. roku po przerwaniu frontu pod Gorlicami i nad Dunajcem musiała się daleko cofać aż na linię bagien Pińskich. Aż tam stanęła. Lecz wzmocniła się i przygotowała i na wiosnę 1916. roku rozpoczęła nową ofenzywę, którą prowadzi po dzień dzisiejszy.

W jesieni 1915. roku została powalona Serbia i Czarnogóra. Lecz Anglicy i Francuzi usadowili się daleko na południu, dali schronienie niedobitkom wojsk serbskich i stamtąd gotują się ciągle do nowej ofenzywy.

Front włoski podczas całej wojny nie uległ wielkim zmianom.

Po dokonaniu tylu wielkich wojennych czynów, po powaleniu Belgii, po zajęciu wielkiej części Francyi, po wstrzymaniu zdradzieckiego napadu Włochów, po odrzuceniu daleko wstecz wielkiej Rosyi, po zdruzgotaniu Serbii, po wywalczeniu sobie połączenia ze sprzymierzoną Turcyą, mocarstwa centralne nie mogly jeszcze podyktować warunków pokoju, bo strona przeciwna, koalicya t. j. Anglia, Francya, Belgia, Włochy, Rosya, Serbia, Czarnogóra, obecnie Rumunia nie uważa się za pokonaną, lecz przeciwnie wzmacnia się na siłach i na wszystkich frontach rozpoczyna jednocześnie ofenzywę, tak że mocarstwa centralne musiały przejść do roli defenzywy, to jest do obrony, czyli do odpierania ze wszystkich stron ataków.

Najgroźniejszym i najbardziej zaciekłym przeciwnikiem Niemiec jest Anglia. Ona to swoimi pieniądzmi podtrzymuje ciągle wojnę, ona to podburza coraz to nowe państwa do wojny przeciwko Prusom, ona wystawia coraz nowe armie i wysyła je na wszystkie fronty. W miesiącu sierpniu i wrześniu b. r. wystąpiła Anglia, jako nowa, militarna potęga w strasznej i długiej bitwie nad rzeką Sommą. Anglia wysłała tam do pomocy Francuzom potężną armię i dostarczyła jej tak wielką moc amunicyi i tak straszliwą artyleryę, że wprawia w zdumienie cały świat, że nawet doskonała artylerya niemiecka nie może się oprzeć wprost strasznemu działaniu artyleryi angielskiej. Dlatego bitwa nad Sommą należy do najstraszniejszych bitew w tej całej wojnie.

Nadto Anglia jako niepokonana władczyni mórz zamknęła wszelki dowóz środków żywności do państw centralnych, tak że Niemcy i Austrya muszą mieć największą troskę o wyżywienie swoich ludów. Tak więc

Anglia chce głodem zmusić Niemcy i Austryę do zawarcia pokoju.

Ale i Anglię spotykają ciągłe i wielkie zawody. Ludność Austryi i Niemiec cierpi wprawdzie na wielki brak różnych środków do życia, ale z głodu nie umiera. Wątpliwą więc jest rzeczą, czy cokolwiek wskóra swoją straszną i bezwzględną metodą wygłodzenia.

Podobnie doznaje zawodu na polu militarnym (wojskowym). Wielka ofenzywa na Zachodzie nie przyniosła przełamania frontu niemieckiego i wielkiego zwycięstwa. Strategowie obliczają, że Niemcy potrafią jeszcze przez kilka lat stawiać skuteczny opór.

Widać z tego wszystkiego, że ludzkość znalazła się w tak strasznym kataklizmie, że nie może znaleźć z niego wyjścia. Ani miecz, ani głód, ani zarazy nie rozstrzygnęły jeszcze wojny na żadną stronę. Jedyne wyjście z tej strasznej sytuacyi to wzajemne pojednanie się. Ale o tem nie może być na razie jeszcze mowy. Strony wojujące pozostają jeszcze w tak wrogiem względem siebie usposobieniu, że nie może być jeszcze mowy o zawieszeniu broni. Czują to nawet państwa neutralne i nie mają odwagi wystąpić wobec walczących z przedstawieniami pokojowemi, gdyż obawiają się, ażeby się komukolwiek nie narazić.

Miecz a pług.

Miecz i pług zostają ze sobą w pewnym związku. I tak, co niszczy pierwszy, naprawia drugi zakrywając ślady zniszczenia. Pierwszy podaje grunt podatny do uprawy drugiemu. Trudno określić, którego dzieło jest trwalsze, bo tak te państwa, które jedynie miecz dzierżyły wkrótce upadły, jak również i te, których ludność wyłącznie tylko rolnictwu się oddawała nie były trwałe. Ale tam, gdzie jedno ściśle łączyło się z drugiem, gdzie sprawę rzemiosła wojennego popierało rolnictwo, a sprawę rolnictwa rzemiosło wojenne, tam powstawały potężne państwa, które tylko wtedy poczęły się chylić ku upadkowi, gdy zapomniano o jednym, a zbyt zajmowano się drugim. Przedstawmy sobie państwo uprawiające jedynie rzemiosło wojenne. Zdaje się ono na zewnątrz potężne, ale wewnątrz panuje nędza, bo na wojnę trzeba wiele wojska i pieniędzy, obywatele dzierżą tylko miecz, a ziemia stoi pusta, wyniszczona, bo niema, ktoby ją uprawiał, dlatego to, gdy takiemu państwu w jednej bitwie powinie się noga, popada w niemoc, bo nie ma podstawy trwałej, na którejby się oprzeć mogło, t. j. brak mu podstawy materyalnej, którą daje państwu ziemia dobrze uprawiana. — Przeciwnie, gdzie obywatele oddają się w pokoju uprawie ziemi, gromadzą płody tejże, aby mieć zabezpieczony byt podczas wojny, tam może powstać państwo potężne i groźne dla swych wrogów; tak było i z Polską.

Dopóki szlachta wraz z rzemiosłem wojennem oddawała się uprawie roli, ceniła pług na równi z mieczem, Polska była potężną, wzrastały wewnątrz miasteczka i sioła, na zewnątrz znowu potężne twierdze, broniące granic od napadów nieprzyjacielskich. Rolnik bezpieczny uprawiał spokojnie ziemię, kwitł przemysł i handel, pod każdym względem byliśmy silnymi. Gdy jednak szlachta wzgardziła rolnictwem i tym, który się jemu oddawał — chłopem, w Polsce zaczęło się dziać coraz gorzej. Niepopierane, lecz wzgardzone rolnictwo upadło, upadł przemysł i handel, a Polska osłabiona stała się igraszką państw ościennych, które korzystając z jej niemocy zrobiły z nią, co im się podobało. Polak mądry po szkodzie, toteż my poznaliśmy, acz późno, co nam potrzeba, poznaliśmy, że jak pług, tak i miecz znaczy wiele, a może nawet więcej znaczy pług. Już Piast wiedział jakie ma znaczenie pług, bo obejmując panowanie i pragnąc uszanować stan rolniczy, kazał postawić obok tronu pług mówiąc, jak pisze Niemcewicz:

„Ziomkowie! — rzecze — kiedy mam panować,
Gdy i same nieba tak zrządziły,
Zaklinam, chciejcież rolnictwo szanować:
W mieczu i pługu są Polaków siły“.

Istotnie pług ma odegrać w życiu naszego narodu rolę olbrzymią; miecz dzisiejszy w formie armat i karabinów zniszczył nas bardzo, naprawy dokonać ma pług. Co znaczy rolnictwo, jak je szanować i cenić, nader wyraźnie przekonuje nas wojna obecna, która wykazała, że w czasach dzisiejszych płód rolnictwa — zboże, posiada nie mniejsze znaczenie, jak może najlepsze armaty, bo sprawa zaopatrzenia ludności w żywność może mieć nawet dla wyniku wojny decydujące znaczenie. Nie dziw więc, że jeszcze nigdy znaczenie rolnictwa dla państwa nie uwydatniło się w takiej mierze, jak w obecnej wojnie. A stąd znaczenie ziemi i rolnictwa wzrosło, bo przekonano się, jeśli kto dotąd nie wiedział, że ziemia to podstawa życia każdego narodu, a strata tejże na rzecz obcych, to kopanie dołu pod upadek narodu swego. Zatem obowiązkiem narodowym jest szanować i cenić ziemię ojczystą, nie dopuścić, by ojcowizna przechodziła w obce ręce. Z dumą stwierdzić należy, że Polacy rozumieją ważność posiadania ziemi dla swego narodu, a chłop polski mimo, iż w całej swej masie nie zna jeszcze historyi swego narodu, jednak ziemi, na której się urodził i wyrósł, broni i trzyma silnie i może mocniej od innych, bo przywiązanie jego do niej pochodzi nie z nauki, ale jest instynktownem, naturalnem i dlatego najsilniejszem. Dlatego to widzieć można było, jak rolnik nasz nieraz w śród gradu kul i pękających mu nad głową szrapneli nie wypuszczał z ręki pługa, ale orał swe zagony i nie ustępował z pola od pracy, choć groziła mu niekiedy może i śmierć. Pochodziło to stąd, że rolnik zrozumiał zdanie — tyle Polski, tyle nas, ile ziemi w naszych rękach. — Dotrzymywały kroku mężczyznom w podobnych wypadkach i kobiety nasze, w tem przeświadczeniu, że kiedy mąż potyka się z wrogiem na wojnie, ona ma walczyć w domu z niedostatkiem i nędzą, ma pracować na roli za siebie i męża na dzieci, ona ma imać się pługa, kiedy nie stało męża, bo „w mieczu i pługu są Polaków siły“. **St. K.**

Wojna a wiara i obyczaje.

Druga rocznica wojenna podała dziennikom pożądaną sposobność do czynienia rozmaitych wniosków, naturalnie czysto politycznej natury. Jednak i z punktu widzenia religijnego i obyczajowego poważne nasuwają się myśli. Nie łatwą jest odpowiedź na pierwsze zaraz

pytanie, jak stoją sprawy religijne w trzecim roku wojny? czy wypadnie zaznaczyć nam postęp czy też przeciwnie.

To jedno jest pewne, że wszystkie kombinacye na wojnie oparte, rozwiały się z dymem i że po dwóch latach tej strasznej zawieruchy nie odniesiono na żadnym polu pozytywnych korzyści. To samo możnaby powiedzieć o uczęszczaniu do Sakramentów św., bywaniu na Mszy św., święceniu niedzieli i innych odnośnych obowiązkach. Przedewszystkiem uderza w oczy, że frekwencya na nabożeństwa ustanowione wskutek wojny najzupełniej ustała tam, gdzie nie zdołano go urozmaicić, lub połączyć z odpowiednią nauką. Trzeba wziąć i to na uwagę, że nieobecność ojców rodzin zmusiła kobiety i dzieci do zastąpienia ich w pracy, co nie zawsze da się pogodzić z częstem bywaniem w kościele. Dalej: im bardziej wojna się przedłuża, tem bardziej słabnie zainteresowanie się nią ogółu. Wydaje się to paradoksem, a jednak jest tak — są rodziny, które zaraz w początkach wojny utraciły jedynego syna, brata lub ojca rodziny; te więc nie mając już nic do stracenia przypatrują się biegowi wypadków ze względnym spokojem. Jeszcze większa liczba jest tych, którzy mają swych bliskich w niewoli: z początku wydawało się to strasznem, ale kiedy patrzymy na tysiące jeńców moskiewskich, którzy pracują i żyją, krzepimy się nadzieją, że i nasi jakoś tam sobie radzą. Nawet brak wiadomości nie przeraża nas dzisiaj, bo częste wędrówki za pracą i do Ameryki nauczyły nas, długo zostawać bez pożądanych wieści.

Powoli więc wytwarza się normalny stan rzeczy jaki był przed wojną. W miasteczkach, gdzie przeważa liberalizm, niema śladu religijnego odnowienia. Po wsiach, jak byli, tak i są dobrzy, a może trochę lepsi. Któż zresztą zbada duszę ludzką? Sądzimy ją zwyczajnie z powierzchownych postępków, a te nie zawsze bywają wiernem jej odbiciem. Co innego z obyczajnością: tu zewnętrzne objawy zawsze są wypływem usposobienia duszy i serca.

Podczas wojny wkradły się różne nadużycia: pomijamy, że pastor błogosławi katolickiego żołnierza, lub odwrotnie, bo to się zdarza wskutek nieświadomości; ale kiedy katolickie dzwony głoszą śmierć protestanta lub kościoły nasze ustępuje się na odbywanie protestanckiego nabożeństwa, a to na zasadzie, że w obec Ojczyzny „wszyscyśmy równi“, to już zakrawa na gruby błąd i pomieszanie pojęć. Patryotyzm to rzecz święta, ale nie używajmy go, aby wszystkie wyznania sprowadzić do jednego mianownika. Panowie ci zdają się zapominać, że 1. przykazanie i w czasie wojny obowiązuje.

Wspomnieć tu jeszcze wypada niewesołe objawy obyczajności w życiu rodzinnem. Wojna rozluźniła te węzły: raz po raz się słyszy o gotujących się rozwodach lub o takich, które końca wojny czekają, aby się uwolnić od niewygodnych więzów. Piękne zaiste uczczenie upragnionego pokoju! Nakoniec powiedzieć trzeba, że chciwość przybrała niewidziane dotąd rozmiary. Jedni obawiali się bankructwa, na drugich podziałał zły przykład, gdy ten i ów bez pracy się wzbogacił, a w każdym wypadku żądza złota ogarnęła ludzkie serca.

Oto spostrzeżenia, które się nasuwają katolickiemu badaczowi i które na usta jego kładą gorące słowa modlitwy o pokój.

Ziemia i czyściec.

Po wszystkie czasy budziła się w ludzkości grzeszna ciekawość, żeby, nie poprzestając na Boskiem słowie, na swoją rękę przekonać się doświadczalnie, jaki jest „tamten świat“, a zwłaszcza jaki jest los dusz, które nas tam uprzedziły i uchylić choć rąbek zasłony.

Ciekawość ta wzmogła się głównie w naszych czasach i pod nazwą „spirytyzmu“ panoszy się po obu półkulach i nieprzeliczoną rzeszę ludzką, głodną prawdziwej religii, karmi fałszem i ułudą. Próżne i grzeszne usiłowania. Próżne, bo ci, co się o nie kuszą do niczego innego nie dochodzą, jak tylko do złudzeń, w których czasem może i zły duch igra. Grzeszne to usiłowania, bo się przeciwią istocie wiary i temu, co Bóg dla sprawy wiary ustanowił.

Szczerze wierzący katolik szanuje ów przedział, który Bóg między nami a czyścem ustanowił, wiedząc, iż przez ową zasłonę nie przedostają się zmysły, jeno wiara, miłość i potęga modlitwy.

— Czyściec, choć jest żyjącym członem Ciała Chrystusowego i skutkiem tego pozostaje w pewnym związku z niebem i ziemią, to jednak jest oddzielony z jednej strony od nieba, z drugiej od ziemi, grubą osłoną. Od nieba dzieli go niemożność widzenia Boga i świętych. Od ziemi dzieli go równie niemożebność przestawania z nami. Nietylko odwiedzanie nas nie jest w mocy dusz czyścowych, ale nawet wiadomość o tem, co się u nas dzieje jest poza właściwym zakresem ich wiedzy; nie mając bowiem, jak niebianie widzenia Boga i stworzeń w Bogu, to tylko wiedzą, z czem są w bezpośrednim stosunku.

Głównym zapewne czynnikiem, pośredniczącym między duszami w czyścu, a niebem i ziemią, są Aniołowie stróże. Oni im przynoszą dobre nowiny z nieba, oni też powiadamiają je o tem, jak drogie osoby, które pozostawiły na ziemi, postępują w dobrem, jak wiele modlitw i pokut za nie czynią. Co więcej, oni pewnie żyjącym poddają myśli modlenia się, dawania jałmużn lub na Msze św. za dusze, któremi się opiekują. Zwykle poddają Aniołowie ludziom te myśli wprost do duszy. Poddania tych myśli, uczynionego nam na jawie, potocznie nie odróżniamy od własnych myśli, które od nas samych pochodzą, gdyż nie spostrzegamy, jak się do naszej świadomości dostały. Jeżeli zaś Aniołowie poddają człowiekowi te myśli we śnie, to wyobraźnia śpiącego snuje dalej swoje obrazy, często dziwaczne, jak to we śnie zwykle bywa. Nie można więc, wogóle mówiąc do szczegółów takich snów żadnej przywiązywać wagi; z drugiej jednak strony pamiętać trzeba, że mimo dziwactw, w nich zawartych, sny te wzniecone być mogą przez Anioła, przypominającego nam cierpiącą duszę. Nawet w objawach nadzwyczajnych, kiedy np. dusza czyścowa daje się słyszeć albo kiedy naocznie się okazuje, trzeba upatrywać raczej działanie Anioła, niż duszy samej.

Jeżeli bowiem w Starym Zakonie Aniołowie mogli sprawiać objawienia, przedstawiające samego Boga, to tem bardziej mogą, bez ubliżenia prawdzie sprawiać zjawiska, które dusze czyścowe przypominają.

Bóg wszechmocny może oczywiście i to zrobić, żeby dusza w czyścowem więzieniu zamknięta, zjawiła się na ziemi. Nie może jednak ona czynić tego samowolnie, gdyż to przekracza zakres ogólnego prawa, które je trzyma w czyścu; nie może się to przeto zdarzyć, jak tylko za wyjątkowem zrządzeniem Bożem i z wyjątkowych tylko przyczyn, zawsze godnych Bożej mądrości.

Wszelkie więc owe opowiadania „o pokutujących duchach", wyprawiających różne strachy i domagających się różnych zadośćuczynień, jak wypłaty długów, odprawiania nabożeństw itp. nie zasługują zupełnie na wiarę. Nie zgadza się to bowiem ze sprawiedliwością Bożą i uwłacza godności duszy czyśćowej. Dusza ludzka bowiem staje na sądzie Bożym nie według warunków od niej już niezależnych, jakimi są owe zadośćuczynienia na ziemi i otrzymuje karę według miary win, z jakiemi umiera. Zadośćuczynienia żyjących mogą oczywiście tą karę skrócić, ale zaniechanie tych zadośćuczynień nie może jej w żaden sposób przedłużyć. Owe zaś strachy, huki, brzęki łańcuchów, jęki itp. rzeczy zupełnie nie odpowiadają godności dusz świętych, które w Bożym pokoju cierpią.

Pięknie o tem prawi wielki mędrzec chrześcijański św. Augustyn:

„Gdyby dusze umarłych — powiada — brały udział w sprawach ludzi żyjących i gdyby one same rzeczywiście przemawiały do nas we śnie, to — nie mówiąc o innych — mnie samego odwiedzałaby każdej nocy moja pobożna matka, ona, która za życia po lądzie i morzu za mną jeździła, żeby się ze mną nie rozstać. Bo broń Boże przypuścić, żeby jej serce w lepszem życiu stało się twardszem i żeby nie starała się pocieszyć syna, ile razy mu coś dolega, kiedy za życia kochała tego syna nad wszystko i nigdy go zmartwionym widzieć nie chciała".

Jeżeli dla dusz czyśćowych zasłona, dzieląca ich świat od naszego, jest nieprzebytą, to jeszcze bardziej nieprzebytą jest ona dla nas. Tu idzie nietylko o to, żeby wedle postanowień Najwyższej Mądrości te różne światy biegły w swoich granicach i według swoich praw, ale i o ten szczególny wyrok Boży, żebyśmy na tym świecie jedynie przez wiarę o tamtym świecie wiedzieli, a nie przez żadne doświadczenie, „albowiem przez wiarę chodzimy (w tem pielgrzymowaniu), a nie przez widzenie" (II. Kor. X. 7) — i żeby ta wiara nasza kornie polegająca na słowie Bożem, była moralną zasługą i uzdolnieniem, mającem się rozkwitnąć na tamtej stronie w doskonałe „widzenie".

Ceremonia przywdziewania szat

i namaszczenia rąk z podaniem naczyń św. podczas święceń kapłańskich.

Po długiej modlitwie, w której Biskup prosił Boga o gorliwych i świętobliwych pomocników w swoim trudnym urzędzie, a sam wyznał rzewnie własną ułomność, Biskup w mitrze siada na małym tronie na najwyższym stopniu ołtarza, by przyoblec nowo wyświęconych w szaty kapłańskie. Najpierw bierze stułę, która jest jedną z oznak godności kapłańskiej. Dyakon dźwiga niejako połowę urzędu kapłańskiego, to też nosi on stułę tylko na jednem ramieniu, jak szarfę, spływającą na poprzek z lewego ramienia poprzez piersi. Na znak, że ten, który dotąd był tylko dyakonem, teraz już ma godność kapłańską, Biskup kładzie mu stułę koło szyi i układa na krzyż na piersiach. Przy tem mówi Biskup:

„Weź jarzmo Pańskie; jarzmo Jego jest słodkie, a brzemię Jego lekkie".

Następnie dyakon podaje Biskupowi ornat, który dotąd złożony trzymał na lewej ręce, a Biskup ubiera go w ten ornat. Ale tej części, która kapłanowi nakrywa plecy, Biskup teraz jeszcze nie spuszcza mu całkiem na plecy, lecz zostawia ją na pół podwiniętą, tak, że tylko przednia połowa zwisa zupełnie. Przy wkładaniu ornatu Biskup mówi po łacinie:

„Weźmij szatę kapłańską, która miłość oznacza: mocny jest Pan, aby pomnożyć w tobie miłość i doskonałość uczynków".

Dyakon odpowiada: B o g u c h w a ł a.

S t u ł ę, według przepisu Kościoła świętego, winien kapłan nosić zawsze przy sprawowaniu swego urzędu kapłańskiego. Nosząc ją na szyi jakby jarzmo, ma on sobie przypominać, że wziął na się jarzmo Ewangelii św., czyli obowiązał się być posłusznym przykazaniom i naukom zawartym w Ewangelii św. To też Biskup, wkładając mu stułę, mówi o tem jarzmie, ale zarazem pociesza go, jak to uczynił Pan Jezus, gdy powiedział, że jarzmo Jego jest słodkie, a brzemię lekkie. To znaczy, że naśladowanie Pana Jezusa dla naszej natury słabej i zepsutej jest jarzmem i ciężarem nielada, ale On te trudy osładza i lekkimi czyni łaską Swoją.

Nie bez znaczenia jest też i to, że kapłan przy Mszy św. stułę nosi skrzyżowaną na piersiach. Ma to oznaczać, że jego zobowiązanie się do noszenia krzyża za Panem Jezusem jest szczere i ze serca pochodzi.

O r n a t, który przykrywa wszystkie inne szaty kapłańskie i otula je, a sam jest najbarwniejszą i najbogatszą szatą kapłańską, oznacza miłość. Jak miłość przewyższa wszystkie inne cnoty i w sobie jednoczy, tak ten ornat obejmuje wszystkie inne części ubioru kapłańskiego. — Zawinięcie tylnej części ornatu oznacza, że nowy kapłan jeszcze nie otrzymał posłannictwa do wykonania w s z y s t k i c h części swej władzy. Jeszcze Mszy św. nie odprawił, choć władzę już otrzymał, jeszcze nie rozgrzeszył nikogo, choć wyświęcony już jest. Do tego upoważni go Biskup później i na znak tego upoważnienia rozwinie mu później cały ornat.

Po ubraniu kapłanów w ornaty Biskup wstaje i bez mitry modli się gdy inni klęczą:

Boże, od Ciebie pochodzi wszelaka świętość, każde poświęcenie prawdziwe i cała pełnia błogosławieństwa; Ty więc wylej na tych sług Swoich, których na kapłanów święcimy, Swoje błogosławieństwo † (tu czyni znak Krzyża św. nad klęczącymi), aby dojrzałością swych uczynków i nienagannością swego życia okazali się dojrzałymi i starszymi, dobrze wyćwiczonymi w tych naukach, których Paweł udzielił Tytusowi i Tymoteuszowi.

Niech rozmyślaja w Zakonie Twoim dniem i nocą, a co tam czytają, niech w to wierzą, a w co wierzą, niech tego uczą, czego zaś uczą, niech to sami wykonują. Sprawiedliwość, stałość, miłosierdzie, męstwo i wszystkie inne cnoty niech na sobie samych okazują, własnym przykładem głoszą, słowem do nich zachęcają i pilnują łaski swego urzędu, aby została w nich czysta i niepokalana. Na zbawienie ludu Twojego niech przemieniają chleb i wino w Ciało i Krew Syna Twego swojem niepokalanem błogosławieństwem. Przez miłość, która się nie da zniszczyć, niechaj wyrastają na mężów doskonałych, niech dojrzeją z wiekiem aż do pełni doskonałości Chrystusowej, a potem w dzień sprawiedliwego i wiecznego sądu Bożego niech zmartwychwstaną z czystem sumieniem, z wiarą prawdziwą i Ducha świętego pełni. Przez tegoż Pana naszego Jezusa Chrystusa, który z Tobą żyje i króluje w jedności Ducha świętego, Bóg po wszystkie wieki wieków. R. Amen.

Biskup bez mitry zwraca się teraz do ołtarza, klęka i zaczyna głośno hymn do Ducha świętego „Veni Creator":

Przyjdź Duchu Stwórco w okrąg ziem,
Umysły Twoich nawiedź rzesz,
Napełnij górnej łaski tchem
Te serca, którym życie ślesz.

Po tej zwrotce Biskup wstaje, a obecni odmawiają albo śpiewają dalsze zwrotki tego hymnu, tak długo je powtarzając, jeśli tego potrzeba, aż się skończy namaszczanie rąk nowych kapłanów.

Podczas gdy obecni śpiewają lub odmawiają hymn do Ducha św. po łacinie, Biskup siedząc przed ołtarzem na małym tronie z mitrą na głowie, namaszcza ręce kapłanów. Każdy z nich podaje mu swoje obie dłonie, a Biskup umaczawszy wielki palec w Oleju świętym, poświęconym przezeń na ten cel w Wielki Czwartek, namaszcza te dłonie w sposób następujący: swoim palcem wiedzie on od wielkiego palca prawej ręki poprzez prawą i lewą dłoń do końca wskazującego palca u lewej ręki jednę linię Olejem świętym, a potem od wielkiego palca lewej ręki poprzez lewą i prawą dłoń do końca wskazującego palca u prawej ręki drugą linię, czyli namaszcza obie ręce wewnątrz na kształt Krzyża, a następnie jeszcze osobno naciera tymsamym Olejem świętym obie dłonie kapłana w samym środku. Przy tem Biskup modli się nad temi dłoniami po łacinie tak:

Panie, racz poświęcić i uświecić te ręce przez to namaszczenie i nasze † pobłogosławienie (czyni nad dłoniami namaszczonemi znak Krzyża św.)

Kapłan odpowiada: A m e n.

Co te ręce pobłogosławią, to niech będzie pobłogosławione.

Co te ręce poświęcą, to niech będzie poświęcone i święte.

W Imię Pana Naszego Jezusa Chrystusa.

Kapłan odpowiada: A m e n.

Powiedziawszy to, Biskup składa namaszczone dłonie kapłana tak, jak się składa ręce do modlitwy, a jeden z usługujących księży związuje te namaszczone palce białym ręcznikiem. Z tak związanemi dłoniami (żeby się Olej święty nie ocierał o co) odchodzą namaszczeni na swoje miejsca i klęczą, a Biskup tymczasem chlebem osusza z Oleju św. swój palec, którym namaszczał.

Już się powiedziało, że dyakoni zostali kapłanami przez włożenie rąk Biskupa i odmawiane przy tem modlitwy. Więc to namaszczenie rąk nie daje im nowej władzy, lecz ma ich jedynie przysposobić jeszcze lepiej do sprawowania świętych czynności kapłańskich i ich godność kapłańską niejako zatwierdzić i na zewnątrz wyrazić. Przytem to namaszczenie i modlitwa Biskupa z pewnością ściąga na kapłanów nowe osobne łaski z nieba, które im będą pomocne przy spełnianiu świętych obowiązków kapłańskich. Nadto namaszczenie rąk ma samym kapłanom przypomnieć, że odtąd oni już nie są ludźmi świeckimi, lecz poświęconymi Bogu, że nawet ich ciała i ręce mają służyć już tylko niebu. To w oczach ich własnych ma podnieść ich godność wielką i być dla nich przypomnieniem i przestrogą, żeby tę godność swoją należycie piastowali i szanowali, a nie poniewierali czynami niegodnymi.

Namaszczenie rąk Olejem świętym we formie Krzyża ma jeszcze i ten cel, żeby te ręce były jak najlepiej przysposobione do piastowania Przenajświętszego Sakramentu. Jeśli Biskup Olejami świętymi konsekruje kielichy, naczynia święte, ołtarze i dzwony, to godzi się, by tosamo uczynił z rękami kapłana, które Pana Jezusa piastować mają. Pan Jezus bezustannie prawie w życiu swojem ziemskiem błogosławił, wkładał swoje przenajśw. dłonie na dziatki, na chorych i podawał je umarłym, aby ich wskrzesić i z tych Jego rąk uwielbionych, jak z całej Najświętszej Postaci bosko-ludzkiej, jak powiada Ewangelia święta „moc wychodziła i uzdrawiała wszystkich“. (Łuk. 6, 19). Kapłan ma być drugim Chrystusem, ma sprawować tosamo z mocy Boga, co Chrystus Pan czynił z mocy własnej i Ojca niebieskiego. Kapłan ma być tem narzędziem żywem, przez które ma spływać z nieba na świat „moc“ Boża, błogosławieństwo i łaska. Podobnie jak Chrystus Pan swemi dłoniami rozdawał łaski swoje dla ciał i dusz ludzkich, i kapłani Jego mają ściągać z nieba dobrodziejstwa Boże. Ileż to razy te dłonie kapłańskie będą składane na głowy dzieci przy chrzcie świętym, ileż razy będą one błogosławić zdrowych i chorych, ileż razy kapłan będzie niemi święcił rzeczy rozmaite, które Kościół święcić pozwala! Te ręce kapłana mają się poprostu stać naczyniami łask Bożych. Niechże więc te naczynia, choć śmiertelne są i znikome, jak każde inne dłonie ludzkie, i w proch się kiedyś obrócą, otrzymają to namaszczenie, niech się tem także odróżnią od rąk ludzi świeckich.

Biskup namaszcza dłonie kapłańskie wśród hymnu „Veni Creator“, bo Duch święty jest źródłem wszystkich błogosławieństw, które Pan Jezus wysłużył nam przez mękę i śmierć krzyżową.

Kiedy już dłonie wszystkich kapłanów zostały namaszczone, Biskup bierze od usługującego kapłana kielich mszalny, w którym jest trochę wina, nakryty pateną, na której leży zwyczajna hostya niekonsekrowana i trzyma to przed sobą. Teraz przystępują do Biskupa po kolei wszyscy z namaszczonemi dłoniami, klękają przed nim i dotykają się swymi lekko związanymi palcami kielicha, pateny i hostyi i to w ten sposób, że palce wskazujące dotykają pateny i hostyi, która na patenie leży, a palce środkowe brzegu kielicha. Biskup trzymając kielich w czasie dotykania, mówi po łacinie:

„Weźmij władzę składania Bogu ofiary i odprawiania Mszy tak za żywych, jak za umarłych, w Imię Pańskie“.

Święcony odpowiada: A m e n.

Chrystus Pan powierzył Apostołom moc ofiarowania, gdy po ustanowieniu Najśw. Sakramentu rzekł do nich: „To czyńcie na Moją pamiątkę“ (Łuk. 22, 19). W ten sposób upoważnił On Apostołów i dał im też władzę, aby Ofiarę Nowego Testamentu, przez Niego ustanowioną, dalej po Nim i w Jego imieniu sprawowali. Apostołowie i następcy ich Biskupi, przelewają tę władzę na innych.

Kiedy już wszyscy dotknęli się świętych naczyń, udają się na osobne miejsce w kościele, tam zdejmują małe ręczniki, którymi mieli palce lekko związane, zmywają dłonie ze świętych Olejów i ocierają je tymi ręczniczkami. Biskup na małym tronie taksamo umywa ręce, po czem odmawia z podanego sobie Mszału modlitwy, czyli odprawia dalej Mszę świętą, którą przerwał przed święceniami, a wyświeceni kapłani klękają każdy na swojem miejscu. Biskup odprawia tymczasem Mszę świętą dalej, więc czyta Ewangelię (i „Credo“, jeśli w tym dniu przypada), oraz t. zw. Offertorium, tj. króciutką modlitwę ze Mszału przed Ofiarowaniem. Podczas tego przygotowuje się na ołtarzu tyle hostyi, ile jest kapłanów wyświęconych, a to do Komunii św. dla nich. Hostye te bywają większe, aniżeli komunikanty dla ludu wiernego. Hostye te Biskup na „Podniesienie“ będzie konsekrował, czyli przemieni je w Ciało Pana Jezusa i będzie niemi komunikował nowych kapłanów. Ale uważaj, Czytelniku miły, że ci kapłani, choć jeszcze będą się komunikować z rąk Biskupa, już nie są ludźmi

świeckimi, lecz ta ich Komunia św. już jest Komunią kapłańską, tylko z tą różnicą, że dziś jeszcze nie spożywają jej także pod postacią wina. Potem, gdy sami będą odprawiać Mszę św., będą to czynić pod obiema postaciami.

Biskupowi, gdy przeczytał ze Mszału Offertorium, wkładają mitrę na głowę i zasiada on na małym tronie przed ołtarzem. Następnie odbywa się bardzo piękna ceremonia. Mianowicie nowi kapłani przystępują do Biskupa z zapalonemi świecami, klękają przed nim i każdy daje Biskupowi zapaloną świecę, przy czem całuje go w rękę. Biskup przyjmuje te świece i oddaje zaraz usługującym kapłanom. — Co to ma znaczyć? Pewnie się już domyślasz, że te świece są ofiarą młodych kapłanów, złożoną Bogu przy ofiarowaniu w czasie tej Mszy Biskupiej. Ale czemu ofiarują oni świece? Oto widzisz, temi świecami zapalonemi chcą ci kapłani wyrazić, że swoje dobre uczynki, które z łaski Bożej wykonać pragną, i swoją wiarę gorącą i swe serca gorejące miłością Pana Jezusa, składają oni już teraz na ołtarzu, jako dar dla Pana Jezusa, który odtąd będzie oblubieńcem ich dusz, jedynym ich skarbem i przyjacielem, a to przez ręce Biskupa, jako tego, który im teraz i do śmierci zastępuje miejsce Boga. Trwając w posłuszeństwie dla Biskupa, chcą wszystko oddać Bogu, Jemu samemu służyć i Jemu się tylko kłaniać. Przy tem nikt nic nie mówi, ani Biskup, ani kapłani, ale te migocące płomienie świec, gdyby mogły przemówić, toby nam powiedziały: „Patrzcie, oto ci nowi słudzy Jezusowi w sercach swoich ślubują teraz, że „bardzo radzi wszystko, co mają oddadzą, a nawet siebie samych poświęcą za dusze wasze“ (2 Kor. 12, 15), że gotowi się wyniszczyć dla zbawienia waszego, bo wszystko im już teraz obojętne, byle tylko „Chrystusa zyskać, a was dla Niego“.

Biskup po odebraniu tej ofiary umywa sobie ręce na znak czystości duszy.

Teraz następuje rzecz bardzo wzniosła i pouczająca. Bo odtąd ci nowi księża razem z Biskupem naprawdę i rzeczywiście odprawiają Mszę św. Oni nietylko równocześnie odmawiają odtąd wszystkie modlitwy we Mszy św. aż do końca razem z Biskupem, lecz także razem z Biskupem konsekrują, czyli przemieniają na Podniesienie chleb i wino w Ciało i Krew Pana Jezusa, sprawują po raz pierwszy w życiu rzeczywiście i prawdziwie Przenajświętszą Ofiarę bezkrwawą Nowego Zakonu, odprawiają Mszę św. Tylko ta jest różnica między tą Mszą razem z Biskupem a innemi Mszami, że podczas święceń kapłańskich Biskup sam jest przy ołtarzu i wykonuje święte ceremonie Mszy św., ci kapłani zaś na klęczkach powtarzają za Biskupem wszyściuteńkie słowa, a te słowa najświętsze, które przemieniają chleb i wino w Ciało i Krew Pana Jezusa, odmawiają nawet równocześnie, w tymsamym momencie co Biskup, bo razem z nim wykonują swoją moc kapłańską. To też będąc obecnym na święceniach kapłańskich możesz zauważyć, że wtedy cała Msza święta odprawia się zupełnie głośno, nawet na Podniesienie, kiedyto w innych razach jest tak cichuteńko przy Mszy św,. wtedy Biskup mówi głośno, a nowi kapłani wszyscy jednym głosem mówią to samo co on. Czemuż to tak? A widzisz, to temu tak jest, żeby nam i tym kapłanom pokazać, że w Kościele Bożym wszystka władza i moc od Apostołów przez Biskupów pochodzi, że poza Biskupem i bez Biskupa w Kościele nic się dziać nie powinno, że nawet Najświetsza Ofiara wtedy tylko będzie Bogu miła, jeśli się będzie odprawiać tak, jak Kościół tego wymaga. Ci kapłani, co teraz każde słowo za Biskupem powtarzają, świadczą, że we wszystkiem chcą pójść za przepisami Kościoła, że nie uznają niczego, czego Ko.ciół nie uznaje. Nadto uczy nas ta ceremonia, że najdrobniejsza czynność przy Mszy św. jest tak ważna, że aż Biskup musi nowych kapłanów niejako za rękę wziąć i pokazać im, co i jak mają czynić i wymawiać. Ci nowi księża wyuczyli się co prawda już przedtem, jak się odprawia Mszę św. i inne obrzędy święte, i Biskup już wie, że oni to umieją, ale teraz w kościele przez to wspólne odprawianie chce im i wszystkim pokazać, jakie to ważne są rzeczy, których się wyuczyli, skoro zanim im pozwoli osobno odprawiać, wpierw z nim muszą wszystko przepowiedzieć.

W ten sposób powtarza się tu to, co się kiedyś działo w Wieczerniku; jak tam Apostołowie mieli wśród siebie Pana Jezusa i z Jego rąk przebłogosławionych przyjmowali Najśw. Sakrament, tak teraz ci świeżo wyświęceni kapłani mają między sobą Biskupa. Jak wtedy Apostołowie od Chrystusa Pana uczyli się, jak sprawować Ofiarę Nowego Zakonu, tak teraz Biskup wprowadza swych nowych kapłanów w odprawianie Mszy św.

Uczmy się stąd szanować i wysoko cenić wszystkie obrzędy święte w Kościele Bożym, szczególnie zaś ceremonie Mszy św.!

Dziwna zmiana.

— Powiedz mi bracie, co się to stało? — rzekł robotnik do kolegi; — od czasu, jak mnie w domu nie było, wszystko się u ciebie tak bardzo zmieniło.

— Tak jest, i nie wstydzę się opowiedzieć ci tego, com przeżył. Miałem ci żonę, co nic a nic nie pracowała; ani ściegu nie zrobiła, ani uszyła, ani załatała.

Nasze dzieci tak były brudne i zaniedbane, że ich dotknąć się nie było można; ja sam musiałem chodzić obdarty, a o jakiem porządnem jedzeniu ani myśleć. Za to kłócić się z sąsiadkami, dzieci i męża zostawić i pójść na tańcujący wieczorek, to było życiem mej żony. Ja, muszę ze wstydem wyznać, nie mając przyjemności w domu po całodziennej pracy szukałem pociechy w kieliszku, przesiadywałem w szynkowniach, a gdym wrócił do domu, przychodziło do kłótni i do bicia. Ja nieszczęśliwy, com nawet w piekło nie wierzył, miałem— szatana w domu.

Razu jednego odważył się nasz stary proboszcz, który słyszał o naszej nędzy i niezgodzie, przyjść do nas. Żona moja, która go od pierwszej Komunii nie widziała, chciała się skryć przed nim.

— Powoli, powoli! — zawołał sędziwy kapłan — proszę nie uciekać. Choć to niestety prawda, że cię nie często widuję w kościele, to tem bardziej proszę cię teraz mnie posłuchać. Czyż sobie nie wyrządzasz wielkiej krzywdy. czyniąc się dobrowolnie nieszczęśliwą? Gdybyś była została tą dobrą, pobożną dziewczynką, jakąś była przy pierwszej Komunii, to ani ty, ani twój mąż, ani wasze dzieci nie bylibyście tak nieszczęśliwi, i nie cierpielibyście tak wiele. Zechciej wreszcie uznać, że wina leży w tobie. Gdyś wychodziła za mąż, był mąż twój dobrym i poczciwym robotnikiem. Jeżli teraz za wiele pije, to wprawdzie jego grzech, ale powodem tego jesteś ty, bo twem postępowaniem zmuszasz go niejako szukać poza domem uciechy. Gdybyś się starała osłodzić mu i uprzyjemnić pobyt w domu, toby on nie chodził tak często do szynkowni. Czy to nie nędzne gospodarstwo, jeźli żona tylko biega po całej

wsi, a mąż staje się pijanicą? Gdyby twój mąż miał odzież uczciwie połataną, a w niedzielę czystą bieliznę, gdybyś twe dzieci porządnie umyła i uczesała i jak się patrzy z niemi na Mszę św. poszła, tobyś obaczyła, jak wszystko byłoby inaczej!

Tak mniej więcej mówił zacny proboszcz. Żona moja zaś, która nie jest tak głupia, pomyślała sobie: Ano, spróbuję! I od tego czasu wszystko się zmieniło.

„Religia tylko dla takich ludzi jest straszną, którzy jej nie znają" mawiać lubi nasz stary proboszcz. „Gdyby robotnicy wiedzieli, co znaczy niedziela, toby woleli może dwie niedziele na tydzień, a żadnego nie chcieliby poniedziałku. Nie trzeba sądzić, że Pan Bóg chce, aby kobiety cały dzień w kościele siedziały ze szkodą gospodarstwa. Toby było bardzo przewrotnie. Pan Bóg nie chce, żeby mąż chodził obdarty, żeby gospodarstwo było zaniedbane, bo religia przedewszystkiem żąda, aby mąż i żona wzajemnie sobie pomagali i we wszystkiem dobrem się wspierali, aby przez pracowitość, łagodność i wspólne znoszenie krzyża, który każdy chrześcijanin znosić powinien, życie sobie osładzali i uprzyjemniali, aby swe dzieci do pobożności i pracy przyuczali i ile możności zdala od ulicy trzymali".

Gdy moja żona, która, jak powiedziałem, nie jest głupia i ma odwagę, poznała, ile możemy zyskać, słuchając upomnień naszego proboszcza, wzięła się gorliwie do pracy, ja teraz wątpię, czy są na świecie szczęśliwsi małżonkowie jak my. Gospodarstwo nasze, to raj prawdziwy. Wszystko u nas w najlepszym porządku. Patrz np. na tę szafę, jaka czysta i jak wszystko w niej leży na swojem miejscu! Dawniej prawie nie wychodziłem ze szynkowni i wszystko przepijałem com zarobił. Teraz ani myślę o tem; co tydzień jeszcze 5 marek wkładam do skarbonki. Mam zawsze czystą bieliznę, dziatki, na które aż miło patrzeć; mam dobry chleb, mięso, prócz dni postnych, i dobrą troskliwą gospodynię, która nie dozwoli, aby mi na czem zbywało.

Tak więc moja żona jako była przyczyną główną naszego nieszczęścia, przez swą szczerą poprawę stała się także główną przyczyną naszego obecnego szczęścia.

Po Bogu jednak zawdzięczamy to oboje naszemu zacnemu proboszczowi.

Czy Kościół katolicki już się przeżył?

Prawda nie starzeje się nigdy, bo prawda jest zawsze prawdą. Kościół katolicki opiera się na prawdzie, dlatego też jest zawsze jeden i niezmienny. To też choć wszystko na świecie się zmienia, on jeden trwa takim, jakim go Chrystus Pan założył.

Tę niespożytą siłę Kościoła katolickiego, opartego na Bożej prawdzie, wykazują z podziwem uczeni, choć nie katoliccy, ale protestanci i niedowiarkowie.

I tak:

Niemiecki poeta Lessing, protestant, pisze w jednym z listów: „Nie znam żadnej rzeczy na świecie, na którejby bystrość ludzka jaśniej się objawiła i bardziej wyćwiczyła, jak na systemie religijnym. (Kościele katolickim). Łataniną fuszerów i pół-filozofów jest system nowy (protestantyzm), który oni w miejsce starego stawiają".

Słynny protestancki teolog, Marheinecke, wyznaje, że „ani w dziedzinie filozofii, ani w dziedzinie wiedzy nie spotkał naukowej budowy, którąby po założeniu fundamentów z taką pewnością i sztuką i bystrością we wszystkich nawet najdrobniejszych szczegółach była wykończoną, jak Kościół katolicki. W nim ukazał duch ludzki od wielu stuleci swą najwyższą moc i potęgę".

Liberalny uczony Karol Jeutsch, który przez dwadzieścia pięć lat wyczekiwał upadku katolicyzmu pisze w czasopiśmie „Zukunft" („Przyszłość"): „Budową (Kościołem katolickim) my tak wstrząśliśmy, jak mali chłopcy wstrząsają starożytną katedrą, gdy nożykami swemi skrobią jeden kwadrat kamienny w jej filarach".

„Ja czczę Kościół katolicki, pisał protestancki kaznodzieja, poeta i uczony Lavater do hr. Stolberga, jako starą, majestatyczną budowę, która prastare, drogie dokumenty przechowuje. Ona spoczywa na olbrzymich podstawach i tak jest bogata w piękności, że nie zdołam jej dość podziwiać. Zburzenie tej budowy, byłoby zniszczeniem chrześcijaństwa. Stałego w swych przekonaniach katolika uważam za najczcigodniejszy i najbardziej błogosławiony okaz człowieczeństwa".

Angielski pisarz (niekatolik) pisze: „Zniewolony jestem pytać samego siebie, czy też owa religia, która w tak trwały i podziwu godny sposób do szczęścia ludzkości swemi przykazaniami się przyczynia, nie jest religią Boską? Zdumiewam się, gdy starodawność tego wspaniałego rzymskiego Kościoła rozważam, jako też jego ogromne rozkrzewienie, jego majestat, jego przedziwną karność, co wszystko wydaje mi się być nakreślonem przez mądrość nadprzyrodzoną. Gdy wreszcie wspomnę na jego niewzruszoną stałość we wszystkich doznanych prześladowaniach, na bezsilność wrogów jego mimo używanych przez nich krzyków, obelg i potwarzy".

Dr. Harnack, filozof niemiecki, tak pisze: „Rzymski Kościół jest najobszerniejszem, najbardziej olbrzymiem i najwięcej jednolitem dziełem, jakie historya, o ile ją znamy, utworzyła. Szczególniejszymi jego przymiotami są: wielostronność przy ścisłej spójności".

Protestancki profesor Kern w Göttingen powiada: „Między niekatolikami, w szczególności między protestantami, okazywały najtęższe głowy i najszlachetniejsze serca katolicyzmowi swą przychylność, skoro tylko z jego istotą należycie się obeznały, a żaden inny partyjny interes od tego objawu ich nie wstrzymywał. Takimi byli: Franciszek Bakon, Hugo Grotius, Piotr Bayle, Leibnitz, Lessing, Herder, Jan Müller, Spittler, Blanke, Becdorf i t. d. Przeciwnie zaś tępsze głowy, albo nieszlachetne serca, najciemniejsi partyjni zagorzalcy pomiędzy nami, protestantami, najwściekłej na katolików uderzają".

Kończymy te świadectwa słowy Pethersa: „Z historyi i doświadczenia nie znam ani jednego przykładu, żeby prawdziwie szlachetny, idealny człowiek, któregokolwiek wyznania, łączył się z owymi ulicznikami, którzy błotem i kamieniami starają się obrzucić lśniące kolorami okna tego wspaniałego domu". (Kościoła katolickiego).

Czemuż my wstydzić się, albo nieśmiało przyznawać się mamy do religii, którą innowiercy publicznie w księgach swych tak bardzo wysławiają?

Z życia świętego Mikołaja z Tolentynu.

Święty Mikołaj z Tolentynu odznaczał się wielkim miłosierdziem dla Kościoła cierpiącego; różne sobie w tym celu zadawał umartwienia, pokuty, pościł często o chlebie i wodzie — a szczególnie, gdy został wyświęconym na kapłana, często odprawiał Msze św. za umar-

łych. To też dusze, które on z czyśca wybawiał, często mu się objawiały. Mieszkał w Walimanezyi, niedaleko miasta Pizy cały oddany ćwiczeniom duchownym — gdy jednej nocy w sobotę, widzi we śnie jakąś osobę bardzo bolejącą, która go prosi, aby za nią w dniu następnym odprawił Mszę świętą.

Mikołaj pyta, ktoby była.

— Jestem, odpowiada dusza, twój przyjaciel, brat Pellegrino d'Ozima. Z miłosierdzia Bożego jestem wolny od piekła za pokutę moją; ale ciężkie męki w czyśćcu ponoszę. Przychodzę także w imieniu wielu dusz, podobnież jak ja cierpiących, prosić cię, abyś za nas jutro odprawił Mszę św., przez co spodziewamy się wielkiego ulżenia w mękach naszych.

— Niechaj was Chrystus wspomoże przez zasługi Najświętszej Krwi swojej, którą was odkupić raczył — odpowie Święty ze zwykłą sobie dobrocią: — ale Mszy jutro nie mogę odprawić za was, bo to niedziela — Mszy żałobnej mieć nie można, i muszę śpiewać sumę w kościele.

Na to dusza jęcząc i wzdychając rzecze:

— Ach! pójdź ze mną, błagam cię, dla miłości Bożej — pójdź, obacz nasze męki, a pewnie nie odmówisz nam swej pomocy.

Wtenczas zdało mu się, że był przeniesiony na wielkie pole, gdzie widział mnóstwo dusz różnego stanu, różnego wieku, jakby w ciałach swoich, straszne, niepojęte męki cierpiących — a wszystkie wyciągały ręce ku niemu, i z jękiem żałosnym błagały od niego ratunku.

— Oto, rzecze mu brat Pellegino, oto są cierpienia tych dusz, które mnie wysłały do ciebie. Mamy nadzieję, że Pan Bóg niczego nie odmówi na prośby twoje i z miłosierdzia swego wybawi nas.

Sługa Boży wzruszony tym strasznym widokiem uklląkł i modlił się gorąco: pragnął, aby łzy jego zalały te płomienie ogniste. Rano, jak tylko się obudził, pobiegł do Ojca przełożonego, opowiedział mu swoje widzenie i powtórzył prośbę brata Pellegrino, aby odprawić tegoż dnia Mszę świętą za umarłych. Przełożony z żywym wzruszeniem słuchał tego opowiadania i pozwolił mieć Mszę za one dusze nietylko tego dnia, ale i przez cały tydzień.

Mikołaj uszczęśliwiony z danego pozwolenia, pośpieszył natychmiast do ołtarza — modlił się z nadzwyczajną gorliwością, co też czynił przez cały tydzień, przydając sobie różne pokuty i umartwienia w tejże intencyi.

Niedługo potem ukazał się znowu brat Pellegrino, już nie w płomieniach i boleści, ale w szczęściu i chwale, odziany jasną, białą szatą, otoczony światłością, wśród mnóstwa innych dusz błogosławionych.—Wszystkie dziękowały Mikołajowi, zowiąc go swym wybawicielem. Potem wzniosły się wszystkie do nieba, śpiewając ten wiersz z Psalmu: „Wybawiłeś nas od trapiących nas, a mające nas w nienawiści, zawstydziłeś".

Czyściec za dane zgorszenie.

Boleśnie jest bezwątpienia pokutować za własne winy, ale jeszcze cięższej ponosić karę za grzechy cudze. A jakże wiele jest w czyśćcu dusz, które cierpią za zły przykład i zgorszenie, które drugim dawały!

Pewien znakomity malarz, człowiek pobożny i dobrych obyczajów, malował do kościołów wiele świętych obrazów. Na rozgłos jego sławy, wszyscy mu chętnie pracę powierzali. Proszono go także, aby do jednego klasztoru Karmelitów wymalował obraz, nad którym długo i pilnie pracował. Ale zaledwie dokończył swego dzieła, gdy ciężką chorobą złożony, czuł się blizkim śmierci. Prosił przełożonego Karmelitów, aby go odwiedził, i błagał o łaskę być pogrzebionym w jego kościele, za co zapisał dla Zgromadzenia owoc swej pracy — znaczną sumę należną mu za odmalowanie obrazu, prosząc przytem o odprawienie kilku Mszy świętych za spokój duszy jego. Wszystko uczyniono, jak żądał.

W kilka dni po jego śmierci jeden z zakonników został po jutrzni w kościele dla dłuższej modlitwy. W tem widzi przed sobą duszę malarza, w ognistych płomieniach ciężko bolejącą i proszącą go o miłosierdzie i ratunek w mękach swoich.

Zakonnik pyta, co to znaczy, że tak wiele cierpi, kiedy żył na świecie w opinii wysokiej cnoty i pobożności? Na to umarły odpowie:

— Gdy dusza moja wyszła z ciała, postawioną była przed trybunałem Najwyższego Sędziego: i zaraz usłyszałem skarżących na mnie wiele osób, że jeden mój gorszący obraz poddał im złe myśli i złe pragnienia, za które teraz cierpią w czyśćcu—a co gorsza, że niektórzy z tejże przyczyny skazani są do piekła: domagano się zatem, abym i ja podobnież był ukaranym, iżem im podał sposobność do złego. Ale przybyli z nieba święci Patronowie moi, których czciłem na ziemi, i ci bronili mnie mówiąc, że to malowidło było dziełem młodości mojej, że już opłacone pokutą i dobrymi uczynkami — że wiele z dochodu pracy mojej rozdawałem na jałmużnę: błagali zatem Boga, aby mi uczynił miłosierdzie.

Najwyższy Sędzia wysłuchał ich — darował mi karę wieczną, ale będę cierpiał w czyśćcu, dopóki grzeszna praca moja nie będzie zniszczoną. Błagam cię zatem sługo Boży, pójdź do pewnego N., na którego żądanie namalowałem ten obraz — i proś go w imieniu moim, aby go zniszczył. Pan Bóg to rozkazuje. Biada mu, jeżeli nie usłucha. A na dowód prawdy tego wszystkiego, powiedz mu, że wkrótce dwoje dzieci jego śmierć zabierze — a jeżeli nie będzie posłusznym sam rychło umrze.

Gdy się dowiedział o wszystkiem właściciel tego malowidła, natychmiast je spalił. Miesiąc nie upłynął, gdy widział umierające jedno po drugiem dwoje najmłodszych dziatek swoich, według przepowiedni zmarłego. Chociaż jego posłuszeństwo zabezpieczyło go od drugiej groźby, czynił jednak szczerą pokutę za przechowywanie gorszącego obrazu — a za to starał się rozpowszechniać obrazy Świętych Pańskich, aby przez to zasłużyć na ich opiekę po śmierci swojej.

Mądra rada.

Pewien ojciec rodziny, który się niesprawiedliwym sposobem wzbogacił, zachorował ciężko.

Wiedział o tem, że choroba ta była rakiem — wiedział, że umrzeć musi: ale mimo tego nie mógł się zdobyć na naprawę krzywd ludziom uczynionych.

— Jeżeli oddam mienie źle nabyte, to cóż się stanie z dziećmi mojemi?

Tem usprawiedliwiał się wobec osób, które go do tego namawiały.

Proboszcz jego, mąż wielkiego ducha i serca, postanowił w następujący, niezwykły sposób uratować tę biedną duszę. Powiedział mu, że wie o pewnym bardzo pojedyńczym, ale nadzwyczaj kosztownym środku, który go może uzdrowić.

— Choćby kosztował tysiąc, dwa tysiące, a nawet dziesięć tysięcy franków — odparł z żywością starzec— cóż to jest za środek?

— Trzeba rany i wszelkie miejsca stoczone przez raka skropić ciepłym jeszcze tłuszczem z żywego człowieka; jeżeli przeto znajdziesz pan kogo, coby za pieniądze i dobre słowo chciał się zgodzić na to, by sobie z ręki dać wytopić nieco tłuszczu, wtedy jesteś ocalonym.

— Ach, odpowiedział biedny chory, wzdychając— obawiam się, że nie znajdzie się nikt, coby to chciał uczynić.

— Może tak źle nie będzie — odpowie spokojnie proboszcz. Każ pan przywołać najstarszego syna swego; kocha pana zapewne i będzie pańskim spadkobiercą. Powiedz mu pan: „Kochany synu, możesz staremu ojcu twemu ocalić życie, jeżeli przystaniesz trzymać ręce tylko przez kwadrans nad ogniem". Jeżeli ci ten odmówi, to przedłóż to drugiemu synowi, obiecując mu, że zostanie pańskim spadkobiercą zamiast starszego brata. Jeżeli i ten odmówi, to trzeci z pewnością.

Prośby tej sędziwego ojca wysłuchali trzej bracia, jeden po drugim — lecz każdy wzdrygał się na samo wspomnienie czegoś podobnego. Wtedy przemówił do nich ojciec:

— Jakto? aby mi ocalić życie, boicie się cierpieć ból przez chwilę? A ja byłem już gotów iść do piekła i wiecznie goreć w ogniu, by wam zapewnić spokojną przyszłość! Teraz dopiero widzę, że byłem prawdziwym głupcem!

I skwapliwie kazał oddać wszystko, co tylko nabył nieprawnie i nagrodzić wszelkie krzywdy, jakich się w całem swem życiu dopuścił, nie zważając już teraz wcale na to, co się stanie z dziećmi.

I on miał słuszność, i synowie jego. Prażyć sobie ręce w ogniu, choćby tylko przez kwadrans, choćby nawet dla ocalenia życia ojcu własnemu, jest ofiarą, przechodzącą siły człowieka. A jednak cóż to jest „w porównaniu z ogniem piekielnym?

Głos żołnierza.

Feldpost 322. d. 29. VIII. 1916.

Szanowna Redakcyo!

N. b. p. J. Chr.! Niedawno wieczorem wręczył mi wachmistrz pocztę i jakżesz się nią ucieszyłem. Oglądnąwszy ją bliżej z radości zapłakałem i w duchu dziękowałem Bogu, że w tak krótki i łatwy sposób przyszedłem do posiadania polskiej miłej mi gazetki: „W obronie prawdy". Oby Pan Bóg wynagrodził moim Dobrodziejom! Nie dość na tem! Oglądnąwszy cały oprawny rocznik z ubiegłego roku 1915 i wszystkie numera z bieżącego roku, chciałem czytać odrazu, lecz nie mogłem od płaczu. Łzy mi oczy zasłaniały. Dziwnem i śmiesznem może to dla niektórych się wydaje, ale nie dla mnie! Gazeta bowiem przypomniała mi żywo naszą ukochaną ojczyznę.

Kiedyś i ja mówiłem z przyjemnością o różnych krajach, ludziach, mowach, obyczajach i t. d. i że gdzieś zapewne, jeśli cieplej, to i milej żyć, bo nie tak ciasno i wszystkiego pewnie jest podostatkiem. Nieraz uważałem nasz kraj za upośledzony z natury i tęskniłem za innymi. Dziś tego po 22 miesięcznej tułaczce nie powiem i najuczeńszym zaprzeczę. Miałem dość czasu, będąc w różnych okolicach i porównywałem wszystko z tem, co jest u nas, no i dziś powiadam, że niema to jak u nas Polaków. Możliwe, że komuś miłe są te wrażenia, których doznał, gdy to wszystko po świecie oglądał, ale to tylko temu, któremu się nudzi w domu.

A więc otrzymując polską gazetkę „W obronie prawdy", tak zrozumiałą dla duszy Polaka, stęsknionego za wszystkiem, co swoje, nie dziwcie się, gdy wam powiem, że czytając ją zawsze bywam rozczulony. Chwalić wszystkich artykułów o dziwnie pouczającej treści nie myślę i zbyteczne to jest z mojej strony. Proszę tylko Boga, by wszyscy czytali tę gazetę, a zdaje mi się, że więcej nauczyliby się z tej gazety, jak ze wszystkich innych pism razem wziętych, bo z niej czerpaliby wiedzę prawdziwą, a nie tłomaczoną na przewrotny sposób.

Dużo opuściłem — dużo możnaby jeszcze napisać. Dodam tylko to, że najgorzej zdaje mi się, żeśmy obecnie rozrzuceni po całej armii między różnymi niedowiarkami. Wprawdzie nauczą się niedowiarki z nas dobrego przykładu religijnego, ale boję się, by nasza młodzież nie psuła się od niedowiarków.

Za nader łaskawe przysyłanie mi prawdziwej pociechy ducha zasyłam serdeczne „Bóg zapłać".

Józef Jacyszyn.

Dopisek Redakcyi: Z miłą chęcią zamieściliśmy powyższy list, bo z niego pokazuje się, jak miłą dla żołnierzy jest nasza gazeta. Dobrzeby więc było, ażeby żony i matki posyłały żołnierzom nasze pismo.

Proroctwa Saby.

Wszyscy ludzie dobrzy to wiedzą, że nikt nie może odgadnąć, co nastąpi za dzień, a nawet za godzinę i minutę. Nietylko to. Nie wiemy również, co się dzieje zdala od nas; na przykład nie wiemy, co się stało z tym lub owym żołnierzem, który zaginął, albo który już dawno z placu boju nic nie napisał. Bóg to wszystko zakrył przed oczyma naszemi dla naszego dobra. Jakżeby nieszczęśliwym czuł się człowiek, któryby wiedział, że za rok spotka go śmierć albo jakieś nieszczęście!

Gdyby na świecie był taki prorok, coby mógł przepowiedzieć, co nastąpi, toby go ludzie zasypali złotem, bo każdy człowiek radby zerwać zasłonę, którą P. Bóg zarzucił na czas przyszły. Ale takiego proroka na ziemi niema. W swoim czasie P. Bóg wzbudzał wśród Izraela proroków, ale ci tylko tyle naprzód przepowiedzieli, ile im P. Bóg ze swego udzielił.

Kto się dziś bawi w proroka, ten ludzi oszukiwa. To jest rzecz całkiem jasna. A jednak tysiące jest takich, którzy idą do wróżów i pytają się ich o to, co tylko Bogu samemu wiadomo. Tacy we wróżbitach widzą jakby samego Boga wszystko wiedzącego i dlatego także popełniają grzech, ile razy zasięgają rady u wróżbiarza. Ale wróżbiarz korzysta z głupoty ludzkiej i za pieniądze prorokuje.

Są też i książki wróżbiarskie. Obecnie w rękach ludzi wiejskich można często zobaczyć książkę wróżbiarską „Proroctwa królowej Saby". Książkę tę musiał napisać jakiś żydek, a w każdym razie jakiś sprytny oszust. Pełno w niej śmiesznych, a czasem złośliwych niedorzeczności, ale ludek ciemny książkę kupuje i chowa tak starannie, jak książkę do nabożeństwa. Widać stąd, że jest jeszcze bardzo nieoświecony.

Prawdopodobnie między czytelnikami pisma „W obronie Prawdy" niema takiego, coby jeszcze wróżom

wierzył, albo wróżbiarskie książki czytał, a jeżeli jest, to niechże wie: po pierwsze, że jest ciemny; po drugie, że za swoje pieniądze chce być oszukiwanym; a po trzecie, że grzeszy przeciw 1. przykazaniu Boskiemu.

Listy do żołnierzy.

Może nawet nie przypuszczamy czem są na froncie wojennym listy i karty pocztowe! Na pisanie ich bez miary, szkoda pieniędzy i czasu, ale kto roztropnie w tem postępuje, ten sprawia biednym nie tylko wiele radości, ale i pożytku. Ciężko im bardzo w początkach i niejednemu, który listu nie dostał, tęsknota z oczu wygląda. List dla nich to błysk słońca. Każda stronica, wyraz każdy drogi i pożądany; a jak przytem umieją czytać między liniami. Czasu aż nadto mają na to biedacy, więc łatwo zrozumieć jakim jest dla nich dobrodziejstwem list lub karta pocztowa. Doprawdy nakarmienie to głodnego i napojenie spragnionego. Niech ta myśl stanie się nam pobudką do wysyłania im tej jałmużny tak łatwej.

Ale nietylko radość sprawiają im te listy: Niejednemu ciężko na wojence; dobre słówko z ojczyzny bardziej go od kazania umocni. Drugiego gryzie troska o swoich; a tu przychodzi karta: „Wszystko dobrze; siano już zwiezione"; więc jakby odżył nieborak! W niejednej pewno rodzinie już od lat wielu panowała niezgoda; może się poszło bez pożegnania i bez dobrego słowa. A dziś mąż, żona, rodzice, synowie, bracia i siostry na długo rozdzieleni. I jedno za drugiem tęskni i odczuwa jak sobie nawzajem potrzebni: mąż np. dopiero na wojnie spostrzega, jak mu brak troskliwej opieki żony, bo nieborak sam sobie wszystko musi zrobić. Zniknęli źli towarzysze, tak miła niegdyś wódeczka, i gorsze jeszcze pokusy i biedne żołnierzysko długie godziny rozmyśla nad ruiną szczęścia rodzinnego, którą sam sobie sprowadził. Więc smutno i gorzko w ściśnionem sercu żołnierskiem; a tu Bóg sprawił, że w takiej właśnie chwili przychodzi pozdrowienie z domu. Z pewnym lękiem bierze się do czytania, ale o radości! niema tam ani wyrzutów, ani nawet morałów; nic, tylko ciepłe i dobre słowo. Czyż jest łatwiejszy sposób, ażeby odzyskać utracony raj rodzinnego szczęścia? O takich listach śmiało powiedzieć można: „Błogosławieni pokój czyniący".

Inni cierpią głęboko nad przymusową rozłąką. Czy miłość nasza przetrwa tę pożogę? Czy oddalenie nie osłabi jej? czy nie sprawdzi się po raz setny i tysiączny, że „co z oczu to i z myśli?" czy mąż, czy narzeczony mój pozostanie mi wierny? czy ten mój powróci tak dobry jak odjechał? Ileż to pytań, ile troski bolesnej kryje się w sercu ludzkiem. Front nie jest niebem gdzie zło przystępu nie ma; nie wszyscy towarzysze święci, i tam niestety grają namiętności; i nie przytłumią, nie zabiją ich armaty. Ale oto właśnie w chwili pokusy przychodzi list; znana i ukochana ręka skreśliła słów nie wiele, ale jakże serdecznych i wymownych... i wierność uratowaną została. Do listu dołączono obrazek, a na nim prośba nieśmiała: „Mój drogi bądź dobrym". Taka karteczka staje się nieraz Aniołem Stróżem i jakby talizmanem cudownym przeciw złym towarzyszom i czychającej pokusie. Są to prawdziwe listy apostolskie. Tak przemawia czysta i święta miłość — wobec niej zawstydzić się powinny niemądre karty, z nieodpowiednimi widokami, niby to pełne miłości, których tak wiele na front się wysyła; i jak smutno, gdy takie karty wiszą w rowach strzeleckich, świadcząc niestety o lekkomyślności tych, co w domu zostali. A zapytajmy jeszcze jak one wyglądają w rękach nieprzyjaciela naszego? Strzeżmy się wysyłać takie kartki pocztowe, przeciwnie niech listy i karty nasze będą wymownem świadectwem, dla tego, który padając od kuli nieprzyjaciela, na piersiach swoich je nosił.

Nie wypisujmy w listach naszych skarg i lamentów byle o co. Jeżeli nie zaszło prawdziwe nieszczęście, śmierć lub choroba, nie przyczyniajmy naszym biedakom na froncie goryczy i smutku. Mają go oni dosyć; listu naszego czekają z utęsknieniem i jeżeli tam czytają: „Wszyscyśmy zdrowi, bądź dobrej myśli", to jakby balsam wylany na serce żołnierza; zaraz mu siły i hartu przyrośnie. Taki list staje się dla niego prawdziwą gwiazdką szczęścia; przeciwnie list pełen narzekania przygniata go tylko więcej.

Czy świat się po wojnie odmieni?

Francuski uczony, Maurycy Materlink tak pisal w pierwszych miesiącach wojny:

„Uważano za bardzo prawdopodobne, że żaden człowiek nie wytrzyma piekła, ani okropności bitew i że po pierwszych wielkich ofiarach walczące wojska, opanowane przerażeniem, rzucą się do ucieczki. I oto nagle ku naszemu zdumieniu widzimy zjawisko wprost przeciwne. Przekonaliśmy się, żeśmy mieli błędne pojęcie o męstwie ludzkiem".

Tak pisał przed dwoma laty wielki znawca ducha społeczeństwa. A przez te dwa lata coraz więcej chyba zmienia dawny swój sąd i przyznaje ludzkości w najwyższym stopniu to, czego jej na początku wojny odmawiał".

Cóż bowiem widzi?

Oto ów rozpieszczony, grymaśny i zwyrodniały Francuz wytrzymuje przez dwa lata piekło walk w rowach strzeleckich i z pieśnią wolności na ustach zwartym szeregiem idzie do szturmu nad Sommą. — Zawsze wygodny i chciwie strzegący społecznych przywilejów Anglik godzi się na pogwałcenie dawnych praw i przyjmuje obowiązkową służbę wojskową. — Przywiązany do domowego zacisza i stałego miejsca w piwiarni Niemiec porzuca wygodne życie, a bieży z zapałem w nieprzyjacielskie dale i znosi nieugięcie wszelkie trudy i niewygody wojny.

I wszyscy tak przeobrażeni stają na widowni świata większymi bohaterami, niż owi, których sławiła starożytność i którymi chlubią się rycerskie wieki średnie. Widać u nich wielkie podniesienie ducha, miłość ojczyzny, ograniczanie się w życiowych potrzebach, pogardę śmierci i t. p.

Niemiecki uczony, Fryderyk Naumann wywodzi z tych objawów odmianę świata na lepsze. To przeistoczenie człowieka i społeczeństwa nie stanie się jednak nagle. Według niego, wniesie obecna zawierucha zupełnie nieznacznie do ducha ludzkiego mnóstwo zdrowych pierwiastków.

Przekonał się bowiem człowiek, że do życia potrzeba mu daleko mniej, niż myślał dotychczas, a natomiast daleko więcej wytrzymać może, niż przypuszczał. Nie tylko ci, którzy walczą na polach bitew, ale i ci, którzy pozostali w domu, aby pracować dla zaspokojenia potrzeb walczących, ograniczyli swe potrzeby i nie widać, aby wytrwałość ich pod tym względem słabła,

Wzrosło dziś niesłychanie pośród niektórych społeczeństw poczucie wzajemnej jedności. Znalazło ono wyraz nie tylko w okopach, gdzie zbliżają się wzajemnie i walczą obok siebie ludzie różnych warstw społecznych, bo ujrzysz tam razem chłopa i rzemieślnika i urzędnika i wielkiego właściciela i prostaka i uczonego, — ale i tu, gdzie się ludzie gromadzą, by równo podzielić między siebie żywnościowe zapasy. Wzrosła tu w niesłychany sposób zdolność do zjednaczania się, poszanowanie i posłuch względem rozporządzeń władz państwowych i gminnych. Wraz z temi zmianami w zakresie pojęć społecznych i prawnych o obowiązku i własności ulegają przeobrażeniu i inne pojęcia o życiu.

Wśród nich przytacza Naumann zmianę w poglądach na zdrowie i siłę ciała, które nabrały obecnie szczególnej wagi i widzi w tem zapowiedź powrotu do dawnych umiłowań zdrowia i siły, co w ostatnich czasach poszło w pogardę.

Ten nowy, do pewnego stopnia, człowiek, którego po wojnie należy oczekiwać, inaczej urządzi sobie dotychczasowe życie. Pod wielu względami będzie ono zdrowsze i prostsze.

Tak bowiem bywało zawsze. Wszystkie wielkie wstrząśnienia społeczne wprowadzały zmiany na lepsze. Wtedy bowiem rozpatruje człowiek głębiej swoje położenie życiowe i wyciąga stąd skuteczne wnioski na przyszłość.

Kapitał i procent.

Fryderyk August II, król Polski i elektor Saski, przechadzał się raz w ubiorze cywilnym bez żadnych odznak swego dostojeństwa w okolicach Drezna. Naprawiano tam drogę i wielu ludzi było zajętych robotą. Pomiędzy robotnikami podobał się królowi młody człowiek, który wesoło śpiewając, pilniejszym był w pracy od wszystkich swych towarzyszy.

— Wiele zarabiasz dziennie? — zapytał go król z uprzejmością.

— Cztery grosze (srebrne).

— To niewiele. Jak możesz z tego wyżyć?

— Wyżyć? Hm? gdyby o to szło tylko; ale, panie, ja płacę jeszcze procent z tych pieniędzy i jeszcze odkładam na kapitał. Czy dokazałbyś tego, panie?

— Kochany przyjacielu! Mówisz mi zagadkę, której rozwiązać nie umiem.

— No, proszę, pójdź ze mną do mojej chaty, jest teraz godzina wypoczynku; chcę ci tam naocznie rozwiązać zagadkę.

Wziął serdecznie za rękę króla, którego nie znał wcale i poprowadził do małego, ubogiego domku, gdzie przed nim siedziało na ławce dwoje staruszków. Robotnik powitawszy ich uprzejmie, rzekł do nieznajomego pana:

— Oto są moi dobrzy, starzy rodzice, którzy już na siebie zapracować nie mogą i dlatego żyją ze szczupłego mego zarobku. Wychowali mnie oni niegdyś w bojaźni Bożej, posyłali mnie do szkoły, pracowali na mnie, dopóki sam nie mogłem zapracować. To był kapitał, od którego płacę teraz procenty; bo ze wszystkiego uiścić się, co dla mnie uczynili, nie jestem w stanie. Całkowite ich wynagrodzenie zostawiam Panu Bogu.

Potem zaprowadził króla do izdebki i pokazał mu sześcioro zdrowych dziatek, które siedząc około matki, czytały, pisały, szyły, przędły, bawiły się, słowem wszystkie były zatrudnione.

— Patrz, panie — mówił dalej — w tych moich najukochańszych dziatkach, dla których to czynię, co moi rodzice dla mnie czynili, składam sobie kapitał, aby jeżeli Bogu podoba się, na starość przynosił mi także procent.

Król rozrzewnił się, powiedział mu kilka słów uprzejmych i wyszedł zadumany.

Nazajutrz rano królewski sługa przyszedł do robotnika z wezwaniem, aby natychmiast stawił się w zamku Drezdeńskim, bo król chce z nim mówić; ale nie powinien nikomu opowiadać we wsi dokąd idzie.

Teraz otworzyły się oczy poczciwemu robotnikowi; przestraszony i uradowany razem, spiesznie przywdziewając najlepszą swą sukmanę, rzekł do ukochanej żony:

— Mój Boże! pan którego tu wczoraj przyprowadziłem, bodajże był sam król!

Gdy przybył do królewskiego zamku, wprowadzono go do wspaniałej sali i tu pokojowiec wyliczył mu z polecenia króla sto talarów bitych.

Wkrótce potem wyszedł sam monarcha z bocznego pokoju, podniósł robotnika, który mu dziękując upadł do nóg, pochwalił za rozwiązanie wczorajszej pięknej zagadki, i obiecał opiekować się i na przyszłość nim i jego rodziną. Radością upojony, uszczęśliwiony robotnik biegł do domu, wysypał na stół sto talarów przed oczyma zdumionej rodziny, opowiedział, jak był w zamku królewskim przyjęty i obdarowany, a wszyscy wielcy i mali, starzy i młodzi, modlili się za dobrego króla Augusta.

Bracie, siostro, powtarzaj sobie często te zdania:

„Drzewko, które zasadzę, ochroni mnie w lecie od upału; dziecię, które pielęgnuję moją ręką, będzie mi podporą na starość. Kto swych rodziców czci i miłuje, ten dozna szczodrego ich błogosławieństwa.“

Jałmużna w dzień pierwszej Komunii.

W miasteczku L. przystępowały dzieci szkoły ludowej do pierwszej Komunii. Kapłan jak najgorliwiej przygotował ich do tej świętej uroczystości, wyłożył im ważność i znaczenie Najśw. Sakramentu, owoce godnego przyjęcia tego niebieskiego pokarmu, obowiązki, jakie spełniać należy, aby w sobie zachować skutki tego chleba żywota.

— Jeden chłopczyk — tak mówił do nich, przygotował się wraz z wami, kochane dziatki, do Komunii świętej, chciał się wraz z wami zbliżyć do Stołu Pańskiego, ale choroba go zaskoczyła, tak, że już przed kilku dniami zaniosłem mu Komunię świętą, jako wiatyk, to jest strawne na drogę wieczności. Wkrótce potem Bóg go powołał do siebie i może teraz, w tej świętej chwili modli się do Boga za was i za nas wszystkich. Ponieważ jednak nie znamy Sądów Bożych, dlatego módlcie się, lube dziatki, módlcie się osobliwie dzisiaj za duszę zmarłego towarzysza, ale módlcie się też i za jego ciężko strapioną matkę, która jest ubogą wdową!

Wasi rodzice doczekali się dziś wielkiej z was pociechy, która im wynagrodzi wszystkie cierpienia, jakie dla was ponieśli, bo powrócicie do waszych domów, nie tylko z dobremi postanowieniami poprawy, ale nadto mając w sercach waszych Zbawiciela i źródło łask wszystkich, a biedną wdowę dziś wielka boleść spotyka;

bo dziś popołudniu wynoszą z jej chaty martwe zwłoki jej jedynaka do grobu!

Na te słowa dzieci się rozpłakały. Popołudniu wszystkie odprowadziły zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku. Wieczór tego samego dnia przyszedł jakiś chłopiec do smutnej wdowy i stanął przy drzwiach nieśmiało.

— Zapewne przychodzisz, Antosiu — rzekła Weronika, wdowa — pocieszyć mnie po stracie mego syna jedynaka. Wszak mój biedny Feliks był twoim przyjacielem.

Antoni był zrazu nieco zmieszany; ale im dłużej mówił, tem bardziej nabierała mowa jego ciepła i życia.

— Feliks był moim przyjacielem — rzekł — dziś rano mówił nam ksiądz proboszcz o wielkiem szczęściu tych, co pierwszy raz do Komunii świętej przystępują i ich rodziców, a nadto o wielkim smutku, jaki was, Weroniko, spotkał. Gdym się za was i za Feliksa modlił, przyszło mi na myśl: „Twój Zbawiciel obsypuje cię dziś łaską i pociechą cię darzy;czy nie zechciałbyś i ty Jemu małej zrobić przysługi?“ Prosiłem ojca, a on mi pozwolił dać wam 20 koron z mojej skarbonki. Proszę was, przyjmijcie to.

Mówiąc te słowa, wręczył wdowie pieniądze. Weronice łzy z oczu trysły.

— Niech cię Bóg błogosławi! moje dziecko — rzekła — oby wspomnienie na pierwszą Komunię, którą uświęciłeś czynem miłosierdzia, jako wierny Anioł Stróż, towarzyszyło ci przez całe życie, oby cię strzegło i chroniło od wszelkiego niebezpieczeństwa dusznego.

To życzenie, niestety, nie miało się spełnić. Jak długo Antoś żył pod okiem swych bogobojnych rodziców, był gorliwym chrześcijaninem i sumiennie spełniał swe obowiązki. Nauczył się rzemiosła, został czeladnikiem i poszedł w świat. Tu zaczęły się zrazu chwiać, a następnie runęły jego dobre zasady. Antoni stał się rozpustnikiem.

Ciężką chorobą złożonego zawieziono do miejskiego szpitala. Tu wprawdzie powoli, ale tem jawniej zbliżała się godzina śmierci. Kapelan, lekarz i Siostry miłosierdzia zwracały jego uwagę na niebezpieczeństwo i nakłaniały go, aby się pojednał z Bogiem przez przyjęcie ŚŚ. Sakramentów, ale Antoni na te prośby i upomnienia odpowiadał tylko zuchwalstwem, szyderstwem i przekleństwem.

Wtem odwiedziła chorego jakaś staruszka.

— Czy mnie pan już nie zna, panie Antoni? — zapytała go drżącym głosem — ja się nazywam Weronika i mieszkam w szpitalu. Wczoraj się dowiedziałam, żeś pan chory. Chciałam więc przyjść do pana i jeszcze raz podziękować za tak znaczne wsparcie, jakiego mi pan w dniu pierwszej Komunii użyczył. Odtąd codzień za pana się modliłam. Mój biedny Feliks, który w ów dzień został pogrzebany, rodzice zacni pana, którzy już także przenieśli się do wieczności, błagają teraz, jak się spodziewam, u Boskiego tronu za panem!

— Przestań pani! — zawołał Antoni, głośno łkając. Potem wyjęknął:

— Dzień mej pierwszej Komunii! ach, to był śliczny dzień!

Pełen najtkliwszego rozczulenia, które nim zawładnęło, zatęsknił chory za świętymi Sakramentami. W kilka godzin po ich przyjęciu umarł wśród oznak wielkiej skruchy i żalu.

Z życia W. O. Olivaint.

Było to w lipcu 1863 roku, gdy sławnego Ojca Olivaint, później męczennika paryskiej komuny, zawołano spiesznie do osobistości bardzo cenionej, która była bliską skonania. Choroba trwała już długo, ale chory był zatwardziały, tak iż mało sobie robiono nadziei, aby się zmienił. Nikt z otoczenia nie ważył się dotąd ani słówkiem wspomnieć o kapłanie, o Kościele albo o religii w jego obecności, aby nie wywołać gwałtownego zajścia.

Dzieci i wnuki chorego spełniali wprawdzie obowiązki religii, ale nie należeli do najgorliwszych.

Pogrążeni w wirze zmysłowych przyjemności i zabaw światowych, w obliczu śmierci porzucili ziemskie myśli i poważniej myśleć zaczęli. Prócz tego mieli serce dobre i przywiązanie i miłość ku choremu i czuli się nieszczęśliwymi, że ich ojciec i dziad tak jest uparty, i najmniejszej wzmianki o religii nie chce cierpieć.

Jedna tylko osoba zdawała się być wolną od tej troski niepokojącej, a tą był brat chorego. Pan ten był wprawdzie wiekiem podeszły, ale zachował czerstwość i siły młodzieńcze; miał przytem bystry rozum i serce zacne. A jednak i on tracił natychmiast swoją uprzejmość, podobnie jak i brat jego chory, skoro tylko najmniejszą kwestyę religijną poruszono. Ba, nawet zdaje się, czuwał nad swym chorym bratem, aby w niwecz obrócić wszelkie usiłowania skierowane ku jego nawróceniu.

Tymczasem wszystko zapowiadało śmierć blizką, czas ulatywał, dłużej czekać było niepodobieństwem. Każdy dzień mógł być ostatnim, a każdy z krewnych począł odczuwać niepokój sumienia, na myśl, że przez ociąganie może się stać winnym złej śmierci chorego. Trzeba więc było szybko działać.

Jedna z córek chorego, pani C. idzie do ojca i prosi, aby mogła z nim sam na sam pomówić.

Starzec zezwala ze zwykłą serdecznością i dobrocią.

— Kochany ojcze! — zaczyna pani C. — Przecieżeś mi nigdy nie sprawił przykrości, ale dzisiaj sprawiasz, że wszyscy jesteśmy niepocieszeni. Dziś rano pragnąłeś swe dzieci pobłogosławić, nim umrzesz, a ty sam nie chcesz błogosławieństwa Bożego? A jednak tylko Bóg ma prawo dać ci błogosławieństwo, a ty sam w imieniu Bożem dzieci twe możesz błogosławić! Wszak ty nas tak kochasz, więc też nie opieraj się dłużej naszej tkliwej miłości i uczyń koniec naszemu zmartwieniu! Wszakże przez całe życie byłeś surowym wykonawcą prawa słowem i czynem!

Jak sobie to wytłumaczyć, że te proste słowa wzruszyć zdołały tak twarde serce? Nie inaczej, jak, że łaska Boża tego środka użyła, dość, że lody przełamane zostały.

— Więc dobrze — rzekł; — ale poślij mi po rektora z Vaugirard (Wożirar); słyszałem, zdaje się od mego brata, że to jest bardzo wykształcony człowiek.

Po dłuższej rozmowie z ks. Olivaint, spełnił chory jak najakuratniej wszystkie obowiązki katolika i ze skupieniem i pobożnością przyjął święte Sakramenta.

W dwa dni potem skonał, pobłogosławiwszy swe dzieci; umierając trzymał jedną ręką brata, a drugą ściskał rękę nowego swego przyjaciela ks. Olivaint, który go Bogu i niebu pozyskał. W kilka dni potem odebrał ks. Olivaint następujący list:

„Kochany, Czcigodny Ojcze! Nawróciłeś mego brata w ostatnich godzinach życia jego. Dziesięć minut przed

śmiercią rzekł do mnie samego cichuteńko: „Posłuchaj tego kapłana; on mówi prawdę; miałem niesłuszność, żem uczynił tak, jak ty; dzięki jego staraniom, umieram zadowolony.“

Muszę Ci wyznać Czcigodny Ojcze, że brat mój był rozkoszą mego życia, a jednak są rzeczy, których mu nigdy nie powiedziałem. W sprawach religii nie myślał on zupełnie tak, jak ja; nie chciał wprawdzie chodzić do kościoła, ale wierzył w Boga i Jemu przypisywał wszystkie dary i zalety, przymioty ciała i duszy, zachowanie godności, męstwo i prawość, którym przez całe życie wiernym pozostał. Co się mnie tyczy, to zawsze wierzyłem we wszystkie nauki Kościoła, ale żadnej nie wykonywałem. Ja więc winniejszym jestem jak mój brat. Byłem dobrym żołnierzem, ale nigdy nie miałem odwagi objawić komu pewnych tajemnic, które chciałem ze sobą wziąć do grobu. Ale od czasu tak pięknej i spokojnej śmierci mego brata, wiele cierpiałem, i proszę Czcigodnego Ojca o pomoc i cierpliwość miłości, abym ten tajemniczy wstręt mógł zwyciężyć, który całe me życie zatruł.

Ojciec Olivaint odpisał mu:

„Proszę mnie z łaski swej odwiedzić w poniedziałek rano i liczyć na wszelkie usługi.

W poniedziałek jednak otrzymał Ojciec Olivaint miasto gościa oczekiwanego następujący list:

„Czcigodny Ojcze! Jestem zanadto trwożliwy; nie mogę Ojca odwiedzić, wolę raczej pisemnie Ojcu opowiedzieć to, co już dawno chętniebym był powiedział: Mojem najpierwszem i największem nieszczęściem było to, żem pierwszą Komunię niegodnie przyjął.

W przeddzień owego dnia pierwszej Komunii, o którym bez zgrozy pomyśleć nie zdołam, popełniłem grzech ciężkiego, zbrodniczego nieposłuszeństwa, który także jednego z moich towarzyszy o zgubę przyprawił.

Obaśmy się przelękli grożącej nam kary i skutków naszego wykroczenia i postanowiliśmy nic o tem nie mówić. Mam teraz lat 78, Czcigodny Ojcze, a wstydzę się, gdy sobie wspomnę, żem w 12 roku życia przystąpił do Stołu Pańskiego wraz z moim towarzyszem, mając w sercu grzech zatajony, chociaż nas najserdeczniej zachęcano do szczerości. Owładnęła mną pogarda samego siebie, która się stała katuszą całego życia mego.

W dwa lata później zrobiliśmy obaj przejażdżkę po stawie; przypadkiem czółno się przewróciło i obaj wpadliśmy do wody. Szybka pomoc ocaliła nas od śmierci, ale towarzysz mój niedługo żył po tym wypadku. Umarł we trzy godziny z wyrzutem, który mi gorzko się uśmiechając uczynił:

— Nasza pierwsza Komunia!

Jam został przy życiu, aby dźwigać ciężar tej śmierci. Owe ostatnie słowa jak ogniste pismo wyryły się w mem sercu! Straszne to wspomnienie ani na chwilę mnie nie opuściło. Widzę to dziecko we wszystkich myślach moich. Ilem razy chciał się rozweselić i rozerwać, tyle razy przychodziło, aby mi wzbronić pociechy. Szukałem samotności i wolałem sam pozostać, chciałem uniknąć wszelkiego przywiązania, wszelkiej przyjaźni, aby nikt nie miał udziału w męczarni, którą przechodziłem. Sądziłem, że moja trwoga, moje zamięszanie, byłyby zdradziły przed memi dziećmi moją hańbę i wyrzuty sumienia. Jakież spojrzenia pogardy i niechęci byłbym ściągnął na siebie! Tylko brata mego, którego namiętnie kochałem, starałem się oszukać, aby sobie jego szacunek zaskarbić. Gdybym musiał sądzić, że on może czytać w głębi mego nędznego serca, to śmierć byłaby pewnem następstwem tak okropnego odkrycia.

Chociaż mej winy w żaden sposób zapomnieć nie mogłem, chociaż wszelkie usiłowania w tym celu zostały bez skutku, byłaby mi przynajmniej została nadzieja przebaczenia, gdybym się był starał zasłużyć na nie przez szczerą spowiedź; ale nie miałem odwagi, a przytem cieszyłem się — powszechnym szacunkiem! Tylko ja sam musiałem go sobie zaprzeczyć. Znałem i spełniałem obowiązki względem każdego — wyjąwszy względem samego siebie. Teraz zaś, gdy mój brat umarł — a umarł w błędzie, w którym go przez całe życie zostawiłem, gdy dotknąłem tej ręki, którą on Tobie Ojcze podał, teraz jestem jeszcze nieszczęśliwszy.

Czcigodny Ojcze! teraz Ci wszystko powiedziałem, raz przecież wstąpiłem na drogę prawdy, aż dotąd nią nie szedłem i głowę mą pochyliłem — teraz proszę mi przyjść w pomoc, abym ją mógł znowu podnieść“.

Kto miał szczęście znać Ojca Olivaint, z jego mów i pism, ten tylko zdoła sobie wystawić wrażenie, jakie ten list na nim wywarł. Nie wiemy, co nań odpowiedział, ale następujący list dowodzi, że umiał poruszyć i podnieść owo złamane, nieszczęśliwe serce.

List ten brzmi:

„Wielebny Ojcze! Wszyscy aniołowie nieba i ziemi nie mogą więcej tkliwości, więcej miłości i pociechy udzielić, jak Ty! Chciałbym być w Twoim wieku, a wtenczas zostałbym Jezuitą, aby mieć władzę i prawo umarłych wskrzeszać i tym dać pomoc i szczęście, którzyby go bez Ciebie nigdy nie byli doznali.

Życzę sobie, aby się po mojej śmierci dowiedziano, jak, dzięki Twym szlachetnym staraniom, miłosnemu zaparciu się, dzięki Twej porywającej wymowie i sercu tak wylanemu, grzesznik aż nadto wielki, nauczył się znać i czuć słodką pociechę skruchy... Dzięki, mój Ukochany Ojcze! wieczne dzięki!“

Listy te, podług ostatniej woli piszącego, który tak późno, ale tak szczęśliwie za pierwszą niegodną Komunię odpokutował, dopiero po jego śmierci 1. czerwca 1871 roku w Paryżu drukiem ogłoszone zostały.

WYDAWCA: KS. KAROL NIKIEL.

ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KAROL HOLEKSA.

Drukarnia »Głosu Narodu« w Krakowie.